



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

WYCHOWANIE NASZYCH CÓREK.

L'éducation de nos filles par Jules Rochard. Paris. Hachette 1892.

Kwestya wychowania kobiet całkiem była obca światu starożytnemu. Strącona do rzędu niewolnic i sług domowych, niewiasta nie miała prawa sięgnąć po wyższą kulturę. Uważano ją za podrzędną istotę, nadającą się wyłącznie do codziennej posługi i niższych zajęć. Chrześcijaństwo wyswobodziło kobietę z tego poniżenia i odrazu widać w jej losie wielką różnicę, stwierdzoną czynem posłannictwem niewiast, które się nie mało przyczyniły do tryumfu wiary. To też Ojcowie Kościoła, wbrew utartym do niedawna przesądom, szybko podnoszą umysłowy poziom niewieści, czego wymowne ślady znajdujemy w listach, drukowanych Ś-go Hieronima i innych. Ale owo wykształcenie pierwotne, chociaż nieraz bardzo wysokie, nosi znamiona niemal wyłącznie religijne. Żyjąc wśród zepsucia i rozstroju końca pogaństwa i cesarstwa rzymskiego, chrześcijańskie matrony i dziewicelgnęły do najwyższych niebiańskich ideałów.

Przez całe Wieki Średnie zachowała się owa wyłączność kultury niewieściej zacieśniona w religijnych tylko, niemal teologicznych, granicach. Z czasem granice te stawały się coraz ciasniejszemi, tak, iż XVII wieku, trzeba było nanowo zwiędz bój o rozszerzenie wychowania kobiet. Do tego-to okresu należą mistrze pierwszorzędni, na których się opiera podziśdzień nowoczesne pojęcie „Edukacji naszych córek”. Podejmując pióro Feneclona, pani de Maintenon, znany publicysta, który świetnymi rozprawami z dziedziny higieny

zdobi *Revue des deux mondes* przeważnie w kwestyach wychowania przytacza wciąż zdania owych najdoświadczeńszych i niedościłych doradców, dodając raz wraz i słowa nowszego teźże sprawy rzecznika, Biskupa Orleańskiego, ks. Dupanloup.

Atoli, przyjmując ze strony moralnej rozstrzygające wyrocznie tych arcymistrzów wychowania, dr. Rochard wskazuje słusznie, iż podziśdzień mało dbano o stronę higieniczną życia, co i na uczącej się młodzi zacieżyło złowrogo. Wiek nasz, niemal do przesady zależniony o przyszłość ludzkich pokoleń, kwestyą tę podniósł słusznie do rzędu najważniejszych, a *mens sana in corpore sano* stało się hasłem epoki zatrużonej hyperkulturą umysłu z krzywdą szwankującego ciała. Oczywiście, dr. Rochard bardziej niż ktokolwiek czuł się powołanym do podniesienia głosu w tej sprawie. Wykazawszy tedy niedostatki higieniczne i przeciążenie szkolne w wychowaniu chłopców, z kolei zabrał się i do podobnego opracowania wadliwych stron wychowania dziewcząt. Urosła ztąd książka nieco luźno złożona, jakoby z doraźnych rozprawek o tej lub owej stronie edukacji niewieściej w XIX wieku. Mimo atoli rozrzucenia i braku jednolitości w układzie, dzieło Rocharda posiada dość rdzennej wartości, abyśmy spróbowali, z niego dla czytelników naszych wycisnąć treściwsze ustępy i poglądy.

Autor na wstępie trafną daje definicyą wychowania, „którego celem jest rozwijanie moralnych i fizycznych w dziecku zdolności, w taki sposób, aby je przygotować jak najlepiej do przeznaczonych mu w dalszem życiu losów i trudów”. Właściwie zrównanie umysłowe kobiet z mężczyznami dr. Rochard, jak większość Francuzów, odnosi do daty 1789 r., ponieważ rewolucya istotnie uznała prawo niewiast do wyższych i ogólniejszych studyów. A jednak dopiero od dwudziestu lat prąd czerpiący swój początek w klęskach ostatniej wojny i zaostrzonej walce o byt, spotęgował się i rozszerzył zakres wychowania niewieściego, otwiera-

jąc dla dziewcząt francuzkich licea i szkoły normalne, oraz szkoły zawodowe, a nareszcie, przypuszczając je nawet do korzystania z wykładów uniwersyteckich.

Przedtem już jednak zmieniły się były stanowczo poglądy na stopień kultury od kobiet wymaganej.

Meżczyznom dziś potrzeba znaleźć w towarzyszcze życia, nie sługę i niewolnicę, lecz uczestniczkę w jego zajęciach i spółniczkę jego zabiegów. Dalej, warunki publicznego wychowania nakładają na matki spotęgowany obowiązek wpływania na dusze i umysły swych dzieci, na zrównanie się z niemi ze zrozumieniem wszystkiego, co ich zajmuje. *Socia rei divinae et humanae*, taką musi być matka matka i żona w wieku naszym, a na to niekoniecznie wysokiej potrzeba uczoności, lecz raczej bystrości, wyostrzonej trafnem rozwinięciem przyrodzonych zdolności. Słusznie autor powiada, że kobieta stanowi duszę domu, i że dom ginie, tam gdzie tej duszy zabraknie, lub gdzie ona marnieje i rozrzuca się nazewnątrz, zamiast pilnować powierzonego swej pieczy ogniska.

Wszelako nie wszystkim los pozwala spełnić owo moralne zadanie niezależnie w swobodzie materyalnych warunków. Nie tu miejsce określać powody ruiny i powszechnego zubożenia. Raczej wypada poszukać środków zarobku dla kobiet żądnych własną pracą przysporzyć dobrobytu swym rodzinom, albo jeszcze i zdobyć sobie uczciwą niezawisłość.

Tu autor, przekraczając właściwe ramy swego przedmiotu, usiłuje zbadać i wymienić wszystkie zawody dla niewieściej pracy dostępne. Przyznaje, że z nich wiele, bardzo wiele, z natury rzeczy pozostaje dla płci słabszej zamkniętymi, że względ na zdrowie i siły, na samo przeznaczenie kobiety, na różne w jej życiu okoliczności, nie pozwala im spółzawodniczyć z pracą mężką; że nawet te matki rodu ludzkiego niezawodnie są upośledzone pod względem twórczości tak, iż przy zajęciach współ-

nych z mężczyznami zwykle im bywa powierzana strona mechaniczna, łatwiejsza i powszedniejsza, każdej roboty.

Spotyka się w tem p. Rochard z innym wyższym od siebie duchem, nie dość jak dotąd znanym i ocenionym w kierunku wychowawczym. Korrespondencya hr. de Maistra z synem, z najdroższą córką Konstancją, później za księcia Montnorenicy wydana, jest istną kopalnią wiadomości pedagogicznych i poglądów edukacyjnych. Zachęcając tam ukochaną Konstancją do nauki, powtarza jej jednak, że ją nie chce kierować na sawantkę lub pedantkę, i przypomina jej, iż żadna kobieta nie zdołała ani wyśpiewać *Iliady*, ani napisać *Jerozolimy wyzwolonej*, ani wymalować „Stanz watykańskich“, ani wyrzeźbić „Mojżesza“, ani w ogóle dokonać żadnego arcydzieła ogólnie ludzkiego na równi z pomnikami mekkiej ręki i myśli. Atoli w wynagrodzeniu za tę nieudolność przyrodzoną im to przypada w udziale chować na swych kolanach i kształcić najwyższe doczesne arcydzieło: *pozwiewnego człowieka*.

Niemniej dzisiejsze stosunki społeczne i naprężenie walki o byt zmusza kobiety do wyszukania sobie chleba, rzemiosła czy zawodu, a trudność utrzymania się własnym zarobkiem jest jedną z plag naszej epoki dla nieszczęśliwych kobiet, i uniewinnieniem ich nieraz szalonych i bezmyślnych dążeń do równouprawnienia, które ostatecznie nie zmieniłoby ich położenia, a nad którem wiecznie zacieży słabość organiczna istot przeznaczonych do trudów macierzyństwa raczej, aniżeli do znojów życia. Cokolwiek bądź, szlachetne usiłowania, zwłaszcza w Anglii, uprzystępnili mnóstwo zawodów kobietom. Miss Hubbard od r. 1875 wydaje tu umyślnie roczniki, podające wiadomość o nowych gałęziach przemysłu lub drogach zarobku, otwierających się przed plecią słabszą.

D-r. Rochard nie jest zwolennikiem ani społecznego ani naukowego równouprawnienia. Jako lekarz powtarza, iż mnóstwo zawodów pozostanie zawsze zamkniętych dla kobiet, które nie znoszą ani długiego wystawiania, ani wysiłku przechodzących ich muskularną siłę. Ztąd ani w wojennych potrzebach, ani w marynarce nigdy na nie liczyć niepodobna, a wynika ztąd i niezdolność do rządzenia państwem, skoro osobiście onego obrony podejmować nie mogą. Zostają przeciw inne zawody. W pierwszym rzędzie wabi literatura, a na tem polu nieraz zbierają kobiety wawrzyny, byle się nie wdziały na wyżyny niedostępne. Tu autor przytacza przykład pani Sand, która, celując w osnuwaniu romantycznych opowieści, traciła połot swój i talent, ilekroć próbowała wyczerpywać kwestye ekonomii politycznej lub socjologii. Rochard odmawia umysłowi niewieściami ścisłości w wywodach, ciągłości myśli i rozwagi, oraz w ogóle abstrakcyjnych zdolności, dodając, iż te niedostatki sowiec bywają wynagradzane dobrocią i wdziękiem. Ztąd ani w filozofii, ani w innych naukach, nigdy się nie spotykamy z głośniejszą sławą kobiecą. Co najwięcej, kilka imion z dziedziny matematyki szerszy sobie rozgłos zdobyło.

Sztuka lekarska w ostatnich latach liczne wśród kobiet pozyskała zwolenniczki. Żądza poświęcenia, którą technie każda dusza niewieścia, znajdowała tu zaspokojenie. W samym Paryżu jest sawsze około stu studentek, z północnych krajów Europy, uczeszczających na kursa medycyny. Chwaląc ich pilność, D-r Rochard nadmienia, iż uprzejmość międzynarodowa wpływa niezawodnie na egzamina studentek i wręczanie im dyplomów z ujmą ścisłej sprawiedliwości.

Angielki podobnie garną się do studyów lekarskich, odkąd mianowicie zabiegi Lady Dufferin otworzyły im szerokie pole zajęcia w Indyach, gdzie zamknięte w *zenanach* niewiasty krajowe pozbawione dotąd bywały lekarskiej pomocy, ponieważ mężczyźni nie wolno przekraczać ich progów. D-r Rochard traktuje kwestyą kobiet-lekarek bez wielkiego entuzjazmu, ale wraz i bez uprzedzenia. Zastrzega tylko, aby głównie nosły pomoc pleci swojej i dźiatwie, a nie kusily się, ani o wykonanie operacji wymagających siły i nateżenia, ani o niektóre studia specjalniejsze, obrażające wstydlivość niewieścia.

Bardziej przystoi kobietom zawód nauczycielski, do którego posiadają szczególne nzdolnienie, wrodzoną łagodność i cierpliwość, oraz miłość dźiatwy. Zastęp też kobiet nauczycielek rośnie we wszystkich niemal krajach. Wystarczy za p. Rochard powtórzyć, iż we Francyi same tylko szkólki elementarne zajmują 77.479 kobiet nauczających. Ale z pomnożeniem się instytucyi szkolnych, taki nadmiar kandydatek wnet się owego chwycił zawodu, iż np. z nowym rokiem 1887 blisko 13.000 kobiet ubiegało się o posady rządowe. Sam departament Sekwany rozporządzał zaledwie stu wakansami, na które znalazło się przeszło 4.000 aspirantek! Liczby te otwierają nam bolesne widnokregi zawodów i niedoli.

Służba pocztowa i telegraficzna coraz więcej kobiet używać powszechnie zaczyna. Telefony w znacznej części przez nie bywają obsługiwane. Teraz i koleje żelazne we Francyi i w innych krajach nieradko werbują niewieścia służbę, bądź w rachunkowości, bądź przy kasach, bufetach, bibliotekach, i t. d. Tu i owdzie spotkać można kobietę na czele zarządu stacyi, lub na straży baryer. Wiadomo, iż w Ameryce, kobiety zastępują nieraz droźników i pełnią służbę tramwajów. W bankach nie brak niewieścicy posługi, a wyraźne pismo powołuje niemało kobiet do zastępowania mezkich sekretarzy i pismaków. Jako stenografki celują kobiety w zręcznym i śpiesznym chwytaniu słowa.

Przechodząc w dziedzinę handlu, autor wskazuje, iż prawie wszędzie dźiś kobiety dźierżą kassy sklepowe, do czego ich pasuje większa uczciwość i łatwość obrachunku. Ubolewa Rochard przelotnie nad opłakanem położeniem panien magazynowych, których los jest cięższym, aniżeli się to na pozór wydaje. Dalej wkracza w dziedzinę przemysłu; ale o palącej kwestyi zabójczych zajęć kobiet w fabrykach i kopalniach zaledwie okolicznościowo wspomina, i to raczej liczbami samemi, aniżeli wywodami. W Anglii blisko 800.000 kobiet wytraconych jest z normalnego życia rodzinnego, aby służyć Molochowi przemysłu. We Francyi brak dokładnych statystyk, ale samych koronczarek i hafciarek znajdzie się około czterechkroć, z przeciętnym zarobkiem dziennym od franka do 80 cent. Iгла zawsze najwięcej miewa zwolenniczek w świecie niewieścim, i nie dziw, gdy niektóre wielkie magazyny mód po kilka tysięcy szwaczek stale używają i potrzebują. Następują zawody kwaciarek, modniarek, praczek, szliferek, i t. d.

Niepodobna nam za autorem wymieniać nawet wszystkich gałęzi zajęcia i zarobku niewieściego. Potrąca on wciąż o zagadnienia obecnej chwili, a wraz i o przeznaczenie kobiety, lecz ostatecznie zawsze współzawodnictwo strąca kobietę na podrzędne stanowisko. Licząc na delikatność jej ręki i sumiennność wykończenia, powierzają jej dodatkowe roboty, w których potrzebniejszą jest staranność w szczególach od dokładności i mocy. D-r Rochard przyznaje jednak, że zarobek kobiecy acz zawsze niższy od mezkiego, zapewnia nieraz chleb rodzinie, a zawsze zwiększa jej dobrobyt. Następnie powtarza, iż wychowanie zawodowe dla większości byłoby nierównie stosowniejszem i korzystniejszem od klasycznego wykształcenia. W ogóle zaś, przekonany jest, iż kobiecie nauki umysłowe nie są w życiu potrzebne, i że ztąd zawsze góruje wychowanie macierzyńskie domowe nad publicznem, choćby już z tego tylko powodu, iż w domu czuwa się staranniej — a czuwać przytem łatwiej — nad zdrowiem dziewczynek, aniżeli w zbiorowiskach pensjonatów.

(Dokończenie nastąpi).

W OSTATNIM DNIU.

Gdy życie już potarga w twardej dłoni,
Jak zwiedły kwiat, to biedne serce moje;

Gdy mi mój świat już szary mrok osłoni;
Gdy czarny grób otworzy swe podwoje—
O! wtedy przyjdź, poezyi duchu biały,
By oczy me raz jeszcze cię ujrzaly!

Przypomnij mi naówczas lata owe,
Gdy zapal twój uskrzydlał mi ramiona!
Ostatni raz na mą strudzoną głowę,
Nim jeszcze myśl człowiecza w mózgu skona,
Nim wleci duch przez usta, bólem drżące—
Ostatni raz promienne ześlij słońce!

O! biały ty aniele życia mego,
Co stałeś wciąż na duszy piewceży straży!
Niech oczy twe ostatnich chwil mych strzegą
I mrący duch niech z tobą tylko gwarzy!
Twój słodki szept niech mówi mi radośnie
O marzeń mych, o uczuć moich wiośnie.

Na brudny szmat posepnych dni żywota,
Na chwile te, co ciężką były troską,
Niech rzuci blask twych czarów jutrznia złota!
Niech błysnie mi zrenicą swoją boską!
I nędzę tę i brudy tego świata
Niech skryje mi przezczysta twoja szata!

Niech staną znów przedemną jasne mary,—
Młodzieńczych lat promienne wstaną duchy!
Rozjaśnią mi przedśmiertny dzień mój szary,
Rozbudzą pieśń w pustocie ciszy głuchej!
Niech jeszcze raz potężny głos twój słyszę,
Nim serce me zapadnie w wieczną ciszę!

A może sen młodości swojej prześnieć
W uścisku twym, w pieszczocie twojej miłej;
I uspią mnie czarowne twoje pieśni
Na cichy sen, na wieczny sen mogily...
Nad grobem mym twe światło będzie tłało,
Będzie mi brzmiał twój głos przez wieczność

[cała...]

Antoni Pilecki.

PIERZCHLIWY PTAK

POWIEŚĆ

przez

Kazimierza Glińskiego.

(Dalszy ciąg).

Ciężkich upłynęło dni kilka, ale najwięcej ten ciężar wlokącego się leniwie czasu uczuwał Grzegorz. Od chwili, w której światłość wiekuista zabłysła nad s. p. duszą Piernackiej, posunął się stary bardzo; schudnąć nie mógł, bo dawno już same tylko kości miał pod skórą, lecz w kabłak się zgiął, głowa ku piersi zwiśla a dolna szeregka wyszła ostro naprzód. Z dniem każdym opuszczały siły starego słuę Skalskich; krok coraz powłoczystszym się stawał, wzrok był senny, a palce lekko drżały; trochę włosów, jak mleko białych, przerwanych wiankiem otaczało tył głowy, was nawet przerzedział i, niepieszczony od pamiętnego dnia bolesnej straty, powisł ku dołowi. Trudno mu już było służbowe obowiązki z całą akuracnością spełniać, lecz na porzucenie ich zgodzić się nie chciał i co mógł, według swych sił i woli, dokonywał. Dwaj więc młodzi lokaje właściwą spełniali służbę; on zawiadamiał tylko państwo, że waza na stole, a jeśli czasami brał się do sprzątniania i otrzepywania sprzętów z kurzu, to jeno *pro forma* czynił, bo wszelkie porządki zrobione już

były przed nim. Podczas obiadu jednak, z serwetą przewieszoną przez ramię, znajdował się, jak żołnierz, na stanowisku. Zbierał opróżnione talerze i natychmiast je oddawał idącemu tuż za nim posługaczowi, sam zaś opowiadał państwu różne ciekawości nieciekawe, nowiny nie nowe, każdą gawędę wspomnieniem o s. p. Piernackiej zakończając. Ale ostatnimi czasy i to się zmieniło, a początek tej zmiany datował się od chwili powrotu państwa z Brzezina. I zauważył Grzegorz, że z dniem każdym było gorzej i gorzej: a on gawędził o rzeczach bardzo dawnych i bardzo ciekawych, o starych Korabiezach i Skalskich, pani słuchała pół uchem, pół słówkiem odpowiadała, pan milczał. Po wyjeździe zaś niespodziewanym Zygmunta, ciężka już dusząca atmosfera zapanała we dworze. Nie uszło przed sennem lecz uważnym okiem staruszka, że pani — mimo uśmiechu przywoływanego prawie gwałtem na usta — smutną była, i czuł instynktownie, że lepiej robił, gdy milczał. Spełniwszy więc, co uważał za konieczny obowiązek, odchodził do swojego pokoiku przy kredensie, zanurzał się w starym wytłoczonym fotelu i drzemał. Śmieli się z niego dwaj młodzi lokaje, gdy czasem przeciągle zachrapał, albo przez sen wyszeptał:

— Skończyło się moje kamerdynerstwo! Ni zagadać, ni słówka się dopytać. Pan jak mruk, pani jak mruk... Chhhh...!

Kiwnął się, pochylał głowę na piersi i spał snem głębokim.

Ta cisza przy śnieżnej, białej zimie zmęczyła ostatecznie starego. Człł nieraz szaloną potrzebę wygadania się: a tu nie miał już nikogo, coby bez niechęci jego „ciekawości“ wysłuchał. Nastęrcząc się pani nie śmiał, kredensowi zaś towarzysze to smyki byli, którychby chętniej za uszy potargał, niż wdał się w rozmowę z nimi. Zostawał więc mu tylko stary pasiecznik, obecnie rolę rządę spełniający u Korabieza, prawda, że gadała uciążliwie i miał niemało własnych ciekawości do opowiadania, ale się nie śmiał, jak to kredensowicze robili, gdy po raz setny jedną i tę samą rzecz zasłyszal.

Skalski wyjechał, szambelan zabawił godzin kilka zaledwie; została Zosia sama, chłód i posępność zimy i długi szereg dni już mileząco przeżytych.

Pierwsze chwile jakotako minęły jeszcze, ale po upływie tygodni paru Grzegorz uczył się wykojejonym zupełnie. Całemi godzinami drzemać nie mógł; gadanie z samym sobą nie przynosiło mu zadowolenia; pani stawała się coraz smutniejsza; lokaje wypierali go ze stanowiska kamerdynera, a przymusowe milczenie zaciężyło kamieniem młyńskim.

— Niech jeszcze jeden dzień taki upłynie — szeptał do siebie, — a najakuratniej choroba przyjdzie i nie chybi z Piernacką (wieczne odpocznienie) zobaczę się!

Unikając tej ostateczności, podreptał lipową aleją do zagrody Korabieza.

Mróż od dni kilku zelżał, niebo pokryło się jednolitą, szarą oponą chmur, gęsty szron, którym ubrane były wszystkie drzew gałęzie, strącały lekkim podmuchem wiatru, opadał co chwila i nieraz mialkim piaskiem sypnął w oczy nierównym krokiem idącego staruszka.

— Tfu! — spluwał, ocierając usta rękawem liściurki — wszystko się *wzięło* na moje utrapienie. Śnieg nawet w gębę napadał, jakby się dowiedział, że ja na gadanie idę... Choroba! — mruknął.

Orzepał się, odetchnął chwilę i skręcił ku zabudowaniom gospodarskim.

We wrotach stał Petryk na kiju wsparty. Siwą baranią czapkę pochylał ku tyłowi, głową poważnie pokiwał — poglądził białą, długą brodę i już zdaleka uśmiechnął się.

— Hej — hej!... jeszcze jakoś panu kamerdynerowi nogi służą — he?...

Stary machnął ręką.

— Ot! cości tam jeszcze siedzi we *wnętrzu*, co każe dyby stawiać.

Zbliżyli się.

— Kopa lat!

— Kopa lat — odpowiedział Grzegorz, wyciągając rękę.

Dłoń o dłoń klasnęła.

— Witam!

— Przyjmuję...

Pocałowali się dwukrotnie.

— A co tam u was — ha?

— A u was jak tam — co?

— We dworze? czy u mnie? — spytał Petryk.

— I u was i we dworze — odpowiedział Grzegorz.

— Przysiadźcie — no na ławce, panie kamerdynerze, a jakaś tam ciekawość do opowiadania znajdzie się.

— A i ja mam nie mało, panie rządcu, nastawcie — no tylko ucho — o!

Siedli na ławie przy wrotach; Grzegorz dobył z zanadru tabakierki z brzozonej kory.

— Proszę...

— I owszem.

Petryk pociągnął raz, drugi.

— Uważajcie — no teraz!...

Zaczęli razem i jednocześnie niechętnie głowami pokiwali.

— Poczekajcie — no, panie Pietrze — chrząknął Grzegorz — ja wam powiem, bo to, co ja mam do gadania, to jest *inakszej* natury od waszego.

— Słusznie, że inakszej, ale niesłusznie, że *wy pierwszej* do gadania się bierzecie — odrzekł pasiecznik, w głowę się drapiąc.

— Bo wy nie wiecie, co u nas stało się — o!

— A wy wiecie, co u nas jest — a?

— Zawždy nie to.

— Kto tam wie? Posłuchajcie — no tylko, panie Grzegorzu.

— Uważajcie — no dobrze, panie Pietrze!

Musiał jednak umilknąć gospodarz, bo Grzegorz znów go uprzejmie poczęstował tabaką i podczas, gdy Petryk lubował się drażniącym, aromatycznym proszkiem — opowiadanie rozpoczął.

Czego tam nie było? Wszystkie strapienia swoje, spostrzeżenia i przypuszczenia wyłożył przed Petrykiem, a nie uszło uwagi starego: ani nagły wyjazd Zygmunta i niespodziane Pirskiego przybycie; ani niepokój Zosi, smutek jej, ukrywane łzy nawet, które, choć dużymi perłami nie spływały po jagodach, blaskiem przyćmionych brylantów w fijołkowych krećciły się oczach. Z tego wszystkiego, (dołączając do siebie i sen o Piernackiej) wykombinował Grzegorz, że wojna będzie i zaczął snuć strategiczne plany, a nawet walną batalią pod Ogarówką nieprzyjacielowi wydał.

Zkąd mu się wziął ten animusz rycerski?

A no — za młodu i on proch wachał, a stary pan jak teraz młody, przed *potrzebą*, nieraz cichaczem wymykał się z domu.

To potracenie o stronę dawnych wspomnień na rękę było teraz staremu: zapas wiadomości ze dworu wyczerpywał się, a on nie miał weale ochoty głosu swojego Petrykowi odstąpić. Przedłużał więc, o ile mógł, opowiadanie, z Babińskich karcezem do Rzymu jechał; zawadził o niechrzczonego Turka i chrzczone paskudztwo jakieś, a rozdzierającymi słowami odmalowawszy stan swój obecny, ową ciszę, jaka teraz we dworze zapanowała, wrócił znów do Babina, tyfusu i Piernackiej (przyczem kilka głębokich westchnień z piersi się dobyło z życzeniem wiekuiestego światła, na którego wspomnienie starce się pochylali i unosili z głów czapki) — i zaczął opowiadać o śnie przedwczorajszym, napomknawszy nawiasem, że i dzisiejszy nie mniejszej był wagi. Petryk słuchał zrazu cierpliwie; potakiwał — psykał, gdy go coś bardziej zastanowiło, ale widząc zaskoki Grzegorza i przedłużające się w nieskończoność bajanie — niecierpliwić się począł, ruchem wąsów i coraz częstszym chrząkaniem znak dając opowiadającemu o niezadowoleni swojem.

— Teraz ja — teraz ja, mruzczał. — No, teraz ja — dodawał, co chwila trącając zlekka o łokieć pana kamerdynera.

Ale Grzegorz zdawał się nie słyszeć czy nie rozumieć słów swojego towarzysza. Wypowiedziawszy wszystko, co mógł o s. p. Piernackiej i, co wiedział o panu Zigmuncie i Zosi — przeszedł do pogody i zaczął o zeszlórocznym śniegu rzecz wywozić.

— No — teraz ja! — zawołał już na dobre niecierpliwiony, Petryk.

— Nie, kochanku! — odezwał się nagle głos jakiś tuż koło nich. — Ja teraz!

Grzegorz i Piotr podnieśli głowy — przed nimi stał Korabiez.

Nie zauważyli staruszkowie, że już od chwil kilku pan Michał był obecny ich gawędzie. Wysłuchał wszystkiego, teraz tylko upewnić się chciał, czy dobrze słyszał. Dziadkowie unieśli się z siedzenia i lekkim ukłonem powitali niespodziewanego gościa.

Ach! gdyby którykolwiek z nich posiadał zdolność odczytywania myśli ludzkich z bruzd czoła lub z kilku blasków oczu, dostrzegłby w twarzy Korabieza trwogę jakąś i strach niemy wywołany opowieścią Grzegorza. Słowa starca jak złe szerszenie brzęczały mu w uszach; chwycił niedomówione wyrazy, układał w zdania i wysnuwał myśli niepokojące. List, śmiertelna choroba szambelana, wyjazd nagły Zygmunta i przybycie w tejsze niemal chwili śmiertelnie chorego — łzy Zosi, jakiś rozdźwięk w pożyciu Skalskich...

Co to?

Korabiez temu pytaniu dać nie mógł dokładnej odpowiedzi, odpowiedź jednak sama uparcie się nasuwała, a była smutna, bardzo smutna.

Przypomniał sobie ostatnią wizytę Zygmunta zaraz na dzień drugi po powrocie z Brzezina; w pamięci mu się wyrwały słowa, jakie rzucił Skalski, stając w obronie pięknej Natalii. Teraz ten list tajemniczy, nagły wyjazd upozorowany chorobą przybywającego wnet wuja Denisa: nie miało to wszystko związku z tym domysłem, który już od dawna nurtował w duszy pana Michała? Przeczul nawet więcej, niż wiedział: przeczul, że Pirski musiał mieć świadomą rolę w tej intrydze i wprawna doń rękę przykładła. Znał nieco moralną szambelana, jego wyuzdane zachcianki — i strach uczul! Zygmunta tłumaczył; dla Pirskiego nie miał przebaczenia. Ten działał na zimno, z wytrawnym wyrachowaniem starego gracza — Skalskiego parla namiętność. Zygmunta był próżny, naturę miał miękka i podatną; stosunki z szambelanem oddziaływały nań jak narkotyk: pochlebiało mu kuzynowstwo z Pirskim, do jakiego jawnie się przyznawał pan na Brzezynie; zdobycie zaś względów cudnie pięknej Natalii, o której triumfach i ofiarach Korabiez wiedział, napawało Zygmunta dumą salonowego lwa, — krom szau, od którego obronić się nie chciał, choć mógłby. Potrzeba na to było krótką lecz stanowczą bitwą stoczyć z potęgą własnych żąd, ale Zygmunta duch leniwy na walkę taką zdobyć się nie chciał. Korabiez nie wahałby się otworzyć oczu jego na przepaść — próbował już tego... Niewysłuchany, usunąłby się, mając przeświadczenie, że spełnił obowiązek ludzki. A zresztą, niechby się stało, coby Zygmunta dla siebie za dobre uważał — ale tu w grę wchodziła ukochana przez biedne pana Michała serce — kobieta, dla której on wszystkoby oddał, co mu jeszcze z blasków życia zostało. Sam wyraz: cierpienie! miał dla Korabieza zawsze jakąś powagę majestatu, a tu z cierpieniem tem łączy się ubóstwiana przez niego istota. Niech ludzie co chcą mówią, ale ona, choć mała cząstka do niego należy. Kołysał ją w myślach swoich, cierpiał i walczył przez nią; ona nieodłączną była od marzeń sennych i prac jego; trud każdy, ofiarę każdą podejmował pod naciskiem wspomnień o niej! Pierś swoją dziś — by dał na rozszarpanie, byleby otrzeć jej łzy, dawne nawrócić szczęście. On dla siebie niczego już nie pragnie: prześnił sny wszystkie, dzień jutrzejszy nie ma dla niego uśmiechu.

— Teraz ja! — odezwał się, stając przed Grzegorzem.

— Czy gadać, czy słuchać pan będzie? — zapytał stary.

— I tego i tego potrosze — odpowiedział z uśmiechem Korabiez — lecz mówić ci nie przeszkodzi, bo mileżec wolę.

Staremu raźniej się zrobiło; ale Petryk spochmurniał. Stali obaj, czekając na zapytanie Korabieza.

— Dawno we dworze nie byłem — zaczął pan Michał. — Co u was słychać?... Pani zdrowa? pan w domu?

Korabiez nie lękał się, by go stary posądził o niedyskretną ciekawość; obojętne: co u was słychać? nie mogło wzbudzić żadnego podejrzenia,

a stęskniony do gadaniny starowina sam już od powie na wszystko, o co Korabiczowi szło najwięcej.

Dziad gadał, pan Michał słuchał — słuchał z uwagą, lecz niczem się nie zdradził, że mu nieobojetnym był dom Skalskich. Gdy stary powtarzać się zaczął, rzucił parę nieznaczących pytań i odszedł do siebie.

— No — teraz ja! — nie zapomniał o sobie Petryk.

— Poczekaście-no, panie rządco — to jeszcze nie wszystko! — upewniał Grzegorz.

Wrócił do przerwanej niwy opowiadania, ale Petryk nie słuchał tym razem, tylko sam gadać zaczął.

I dziwna zawiązała się rozmowa, bez pytań, bez odpowiedzi. Ten swoje, a ten swoje prawil. Mówili razem, pochylając się, to odsuwając od siebie, czasami jednocześnie dwa palce w górę się podnosiło, czasem się jednobrzmiące zbiegło: „o!” lub „a!” po których następowała krótka pauza i dalszy ciąg ciekawych opowiadań, prowadzonych z całą powagą, bez podnoszenia głosu, bez chęci zagłuszenia się wzajemnego.

Szybko spływający zmierzch i błysnięcie światła w czeladnej izbie domu Korabicza, dały hasło starszkom do rozejścia się. Raźniejszym, niż przedtem krokiem, szedł Grzegorz do dworu, głowę nawet ku górze unioś, uśmiechał się zadowolony i kontent z chwili na pogadance spędzonej.

— Dobry stary! — mruzczał, o Piotrze myśląc — tylko, że wiatrak ma w gębie.

— Niczego człek! — szeptał Petryk półgłosem — ale, że pytel!

Szary, posepny wieczór nadszedł; księżyc, chmurami zakryty, słaby blask rzucał na ziemię. Górą przelatywały ciężkie skrzydła wiatru, słychać było głuchy klekot obnażonych gałęzi i przeciągły szelest. Dla ludzi, którzy mają jakiś ciężar na piersi, przykrym jest ten tajemniczy szum wiatru i głuche klekotanie konarów.

Korabicz chodził wzdłuż swego pokoju krokiem niespokojnym. Przez mózg mu przelatywały myśli jak fale wzburzone rzeki, jedna doganiała drugą, łączyły się, dopadały brzegów skalistych, których przeskoczyć nie mogły — i rozbryzgiwały się nagle, sypiąc zimnym, kroplistym deszczem. Czoło pana Michała rysowało się wówczas w podłużne to poprzeczne zmarszczki; czasem zaciskał pięść gniewnie, to dłoń rozwartą podniósł i rozpalone pocierał nią skronie.

Na stole stała przyniesiona oddawna lecz nie tknięta wieczerza. Chłopiec kredensowy parę razy zazierał do pokoju, wreszcie na dany znak przez Korabicza, zabrał półmiski i z parobczakiem od koni uczte sątą wyprawił.

Cicho było, pan Michał nie wstał nawet na chwilę. Odbity przez światło lampy, w połowie złamany snuł się cień jego na ścianie; malał, to zwiększał się — dosięgłszy sufitu wyginał się kształtem olbrzymim i znów się kureczył, zwał, by wnet potężne przybrać rozmiary, czarnym słupem ku górze się posunąć, złamać się i szybko spłynąć ku ziemi.

Zegar czknał i uderzył, w kominie przeciągle wiatr gwiznął, a drzew konary zaczęły stukać gwałtowniej i tłuc o gontowe dachu pokrycie. Wiatr się wzmógł, dzwonił o rynny, szamotoł się, rwał i z jakimś szelestem westchnień i skarg szumem w dal płynął. Korabicz słyszał jak biegł lipową aleją, żeby otrzeć się o ściany starego dworu, złowrogo w szyby uderzyć i — może czyż tam sen przerwać.

Spojrzał na zegar.

— Osma!...

Na sen zawczasie, nie zawczasie tylko na myśli, które przy kołysaniu tej pieśni zimowych poświstów, smutne być muszą. Jak olbrzymieją cienie im noc jest głębsza, tak mary wyobraźni potworniejsze przybierają kształty, samotne serce strach większy ogarnia, gdy oko nie dojrzeć — prócz noy, ucho nie zasłyszeć, prócz posepnego gwaru wichru — nie może.

Myśl Korabicza pobiegła za szumem wiatru i zatrzymała się przed drzwiami domu pana Zygmunta. W pokojach ciemno, cicho; dwa tylko słabe światelka, w dwóch przeciwnych stronach domu, migocą. Jedno się pali w kredensie, drugie w sy-

pialni Zosinej. Stary Grzegorz, zanurzony w głębokim fojelu drzemie, młodzi lokaje wyfluszczone kartami grają w maryasza, Zygmunta nie ma, a...

— Co robi ona w tej ciszy, w tej pustce osamotnionych komnat? — szepnął Michał.

Pytanie to w głos padło; na odpowiedź wiatr zasumiał i pobiegł lipową aleją tam do niej! Korabiczowi się zdało, że w szumie tym posłyszał słowa:

— Śpiesz!... śpiesz!... śpiesz!

Odszedł szybko od okna, na barki lisiurkę zarzucił, głowę okrył czapką baranią i wyszedł pośpiesznie.

Nie omyliło go widzenie: dwór tonął w ciemności, w kredensowym oknie niepoprawione przez zapalonych graczy pełgało światło lampki, a Grzegorz, z głową pochyloną na piersi, drzemał w fotelu.

Korabicz okrążył dom, szedł cicho, miękki śnieg bez szelestu ugiął się pod jego stopami, psy tylko warknęły krótko, lecz poznawszy idącego, umilkły naraz.

Pan Michał wszedł do parku.

Na drugim końcu domu, którego węgiel ostrym kątem wchodził w kłęb świerków — jarzące paliło się światło. Podłużny kwadrat dwuszybowego okna odbił się wyraźnie na gładkiej powierzchni śniegu, wraz z niewyraźnym cieniem postaci kobiecej. Korabicz przystanął chwilę, bo serce mu uderzyło silnie; następnie krok zwolnił i posuwał się w pewnym oddaleniu od ścian ku plamie świetlnej.

Zosia siedziała przy małym stoliku, z pochylonem czołem. Światło lampy padało na nią i w reflexach odbijało się od włosów, które bujną falą kędziarów spływały na ramiona i pierś podnoszącą się lekko. Błado-różowy szlafroczek obsyty koronkami otulał ją całą; na palcu miała pierścień ślubny, na szyi cienki łańcuszek, ze złotym medalionem.

Korabicz zatrzymał się o parę kroków od okna i wpatrzył się. Nie dojrzał twarzy, bo na nią cień padał od splecionych moeno palców; nie dojrzał oczu, bo te dłońmi zakryte były, o które czoło oparła. Lecz dość miał, że widział tę głowę ukochaną, te drobne, małe ręce, których uścisk krótki, lecz przyjaćielsko serdeczny, pozbawiał go długą pracą wywalonego spokoju. Wiedział, że teraz znów przyjdą noce bezsenne, że zmartwychwstaną lat dawnych rojenia; wiedział, że cierpieć znów i walezyć będzie, lecz urokowi oprzeć się nie mógł i nie chciał. Stał tak okryty cieniami noy — nie widział go nikt, szum wichru nawet tłumil stuk jego serca.

— Chwilę — chwilę jeszcze! — szeptał do siebie — i pójdę precz!... precz!...

Lecz chwilki upływały, a on kroku nie ruszył, nie zmrużył powiek.

Nagle drgnął...

Zpod palców Zosi spłynęła kropla jedna i druga.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Dnia 10 Maja 1892 r.

Obserwatorium i atmosfera nasza. — Naukowy ciepłomierz i mroźne poddmuchy. — Astronomia i kwiaty. — Doktorka prawa panna Bilcesco. — P. Loti w Akademii francuskiej. — Posiedzenie na jego przyjęciu. — Teatr Ambigu Comique; nowy dramat p. Rzewuskiego: *Justicier*.

Zawczasie kwiatku, zawczasie
Jeszcze północ mrozem dmucha,
Z gór białe nieseszły pleśnie,
Jeszcze dąbrowa nie sucha!

Ze smutkiem powtarzam sobie te wiersze Mickiewicza, siedząc przy kominie, i żalując zawcze-

snych nadziei i oddanych pochwał tegorocznej wiosnie.

Pomimo wspaniałych prognostyków z pierwszych dni kwietnia, zimno zjawilo się znowu nagle, ostrzejsze i silniejsze, niż kiedy, w tę porę roku. Z tym nieoczekiwanym powrotem wróciły i tak zwane tutaj: *Giboulets de Mars*, to jest deszcz, śnieg, wiatr, a po nocnych przymrozkach grad, z akompaniamentem, jakby na śmiech, piorunów i grzmotów!.

Gdzież się podziały te jasne dni słoneczne z Prima Aprilis? Czyż i natura bawi się w żarciki? A myśmy latwoierni, cieszyli się tym powrotem wiosny — jak-by małe żaki!.

Wiosna! ta luba wiosna, którą śpiewali niegdyś poeci, czy to także tylko poetyczne złudzenie! Czyż te jasne, lekkie o świetnych barwach materye — ta woń czarowna fijołków, bzu i konwalii, także fatalne tylko złudzenie? i przychodzi znowu wyściagać z szafy futra, płaszcze i śpiewać pod nosem:

Do świętego Ducha

Nie zrzucaj koczucha!

A po świętym Duchu

Chodź jeszcze w koczuchu!

Wszystkich tych kwestyi, które chórem powtarza cała tutejsza publiczność, nie może rozwiązać nawet i najgłębsza nauka! Wszak oto zarzucono pytaniami samego dyrektora, centralnego biura meteorologicznego — ale cóż kiedy fakta zaprzeczają uczonej teorii.

Uczony dyrektor zdaje się spokojnem okiem śledzić te waryacje atmosferyczne — i on sam i całe jego biuro spodziewają się dni lepszych — i ja także, ale chyba w Lipcu!

To sławne centralne biuro meteorologiczne przy ulicy Uniwersyteckiej w Paryżu; odbiera codziennie sto pięćdziesiąt depeszy klimatycznych, ze stacyi całej Europy i Ameryki, dających spodziewany czas i obserwacje czynione na okrętach i stacyach. Takie informacje, dają więc wszelką możliwą gwarancją, co da sumienności i prawdziwości studyów.

Otóż opinią biura meteorologicznego można streścić w sposób następnny: Niema nie straconego! z powodu powrotu zimna, które znosimy w tej chwili. Oprócz kilku wsi, które przez swe topograficzne położenie są wystawione na wiatr i na zimno Paryż i reszta Francyi, nie będą szkodować od tego zniżenia powszechnego temperatury.

Zimno, które przebywamy, jest całkowicie w należytej formie, towarzyszy mu pochmurne niebo, co jest najdoskonalszym warunkiem, do uniknienia szkody z powodu nowych mrozów.

Niema więc większej szkody — ogłasza nauka. A co może się stać jutro? — powiada z uśmiechem p. Muscart, to nie moja rzecz, co się tycze proroków! — Owóż prorocy, jak owi z kalendarza berdyczowskiego, sławni tu Mathieu de la Drôme i ksiądz Fortin ogłaszają *urbi et orbi*, że ciepłych i pogodnych dni niema się co spodziewać przed 15 Maja. I jak dotąd, zdają się mieć słuszność za sobą, bez względu na sławne tablice temperatury, metodycznie uklassyfikowane i wystawione *coram populo* w pysznych gablotach meteorologicznego Biura, z których się pokazuje jasno, że termometr nigdy jeszcze nie był tak wysoki, jak podczas Kwietnia b. r.!

Na nieszczęście, z wyjątkiem kilku dni, znosimy tu ciepka, przykra, mroźną temperaturę, gdzie w ogrzonym pokoju termometr ledwie dochodzi, i to leniwo, do 12 lub 13 stopni, a co się dzieje nazewnątrz — co się dzieje na wsi, to proszę posłuchać:

Podczas, kiedy uczeni stacyi meteorologicznych świata całego utrzymują, opierając się na rachunkach i liczbach, że ostatnie zimna żadnej nieprzyniosły szkody, i stwierdzają rzeczywiście zapomocą *minimumów i maximumów* niezaprzedzonych termometru, że nasz Kwiecień jest cieplejszy, aniżeli lat poprzednich; — ogrodnicy w okolicach Paryża, krzyczą w niebo głosy, wskazując na swe poniszczone grzędy... Cały świat uprawy kwiatów przywdział,

powiadają, żalobę — a co do owoców, można się z niemi pożegnać na dobre.

„Patrz pan, — powiada mi jeden z pierwszych ogrodników stolicy, wprowadzając mnie do swego ogrodu, — oto jaki skutek wywarły, na bzach nawet, zimna ostatniego tygodnia. Pokaż pan te gałązki astronomom, — i tu złożył przedemną wiązaną tego tak popularnego tu krzewu, poprzednika wiosny. — Jak zmęczone, spracowane oczy trudem uczzonego, tak drobnutki kielichy, zczerniały u spodu; pobladły na nich żywe barwy; zwieszają się smutnie na gałązce; uleciał zapach, i ten bez ginie, umiera na galopujące suchoty!

„Bzy jeszcze — dodaje smutnie ogrodnik — przyjdą nam trochę później, z północnej części Francji i z Belgii, z Hollandyi, gdzie też i kwitną później; ale te wspaniałe niezrównane kwiaty — nasza chluba, i źródło naszego zysku, cała ta podzwrotnikowa flora — tu wszystko stracone, oprócz, ma się rozumieć, tych kwiatów, które pozostały w cieplarniach. Nasze bratki zwarzone na nie. Nasze fijołki zkoszone do szczytu, same nawet róże srodze porażone i, jeżeli dadzą kwiat, to chyba, powtórnie puszczając pączki. Zamiast w Czerwcu, możemy ledwie spodziewać się w Lipcu. — A co do piwonii, tej najwspanialszej ozdoby naszych klombów, stracone są już niepewrotnie, i trzeba się z niemi pożegnać aż do przyszłego roku...

„Daleko smutniejszy jeszcze los czeka drzewa owocowe. Tu już niema co liczyć na powtórne pączki; tu zab mrozu — to śmierć i strata.

„I tak wszystko. Sławne brzoskwinie, jeśli nie były zakryte matami, nie dają wielkiej nadziei owoców. — Jest to niezmierna strata, kiedy powiemy, że każda z tych sławnych brzoskwiń, sprzedaje się za cenę najniższą 1 franka, a łatwo dochodzi do trzech franków...

Może te skargi szczerze wyrwały się pod wpływem zniechęcenia w pierwszej chwili porażki — nazajutrz po takiej nocy; rolnicy, jak zwykle, są przekonani, że wszystko stracone, ale niech-no zabłyśnie słońce, przyszłość zaraz się uśmiecha. — Na nieszczęście, słońce i dotąd za chmurą. I zdaje się, że święta Wielkanocy w tym roku nie były dniem Zmartwychwstania dla kwiatów.

W Lipcu 1890 r. panna Sarmiza Bilcesco uczennica tutejszej szkoły prawa broniła rozprawy na doktorat z takim blaskiem, że dziś jeszcze świadkowie tego popisu, pamiętają te szumne oklaski, jakimi przyjęli ją wówczas kolledzy i nauczyciele, kiedy, z prostotą i wielką skromnością, skończyła swój odczyt, wygłoszony, głosem czystym i dźwięcznym — odczyt znakomity o warunkach legalnych i społecznych kobiety.

Panna Sarmiza Bilcesco miała wówczas lat dwadzieścia trzy; słusznego wzrostu, zbudowana silnie, ciemna brunetka; piękne jej oczy rozjaśniały twarz pełną otwartości, bardziej sympatyczną, niż regularnie piękną. Widziano ją zawsze wówczas, skromnie ale sztywnie ubraną i przyjmującą z łagodnym uśmiechem niewinne żarciki kollegów studentów: — „Patrz! musi być wiosna: panna Bilcesco ma nowy kapeluszek słomkowy“ — albo „Czas w piecach palić: panna Bilcesco wróciła do swego piłśniowego kapelusza!“

Przez pięć lat poświęconych nauce prawa panna Bilcesco nie opuściła ani jednego wykładu, przychodząc zawsze na wyznaczoną godzinę w towarzystwie swej matki. Ta matka, kobieta dobrej tuszy i zmęczona przechadzką, zasiadała zwykle zaraz przy wejściu do sali na jednej z ostatnich ławek, gdzie niebawem zapadała w drzemkę z całym spokojem czystego sumienia, podczas kiedy jej córka, siedząca na jednej z pierwszych ławek, zapamięła szybko, drobnem i pochyłym piśmem notatki małych sexternów o kolorowych okładkach.

Wbrew temu, co zauważono na uczennicach fakultetu medycznego, które wszystkie prawie mają powierzchowność sztywną i zimną jak lód, albo znowu udają chłopców, doktorka Rumunka umiała pozostać kobietą z układu, i ze sposobu myślenia i z całego obejścia. Nie ma ona w sobie nic z nowoczesnej Flaminty, z ostrzyżonymi wło-

sami, która do zaduchu sal amfiteatru zamiast puszeki z proszkiem ryżowym wnosi kapeczuch z tytuniem — starając się i pod tym względem o równouprawnienie z mężczyzną. Pod względem kolleżeńskiego „zapanbrat“ taka pani-doktorka usiłuje utrzymać się na równi z mężczyznami — i łatwiej się to jej udaje, niż rzeczywiste dorównanie w trudach naukowych.

Panna Bilcesco nim się wzięła do studyów wyższej naukowości, odebrała dobre wychowanie zwyczajne panny zamożnych rodziców, wychowanie, w którym muzyka, tańce, i t. p. ćwiczenia, tyle prawie zajmują miejsca ile powszechna i ogólna znajomość wszech rzeczy, obowiązkowo wymagana przy wydawaniu wyższego dyplomu. W siedemnastym roku życia odebrała ta kobieta-*doctor juris* stopień kandydata (Bachelier), *ès lettres et ès sciences*; ale w tymże samym roku otrzymała już pierwszą nagrodę, za grę na fortepianie, w konserwatorium w Bukareszcie. Podobnie następnie na fakultecie prawnym paryżkim dano jej na konkursie w 1886 r. chlubną wzmiankę za studia na prawem rzymskiem. Po skończeniu nauk odmówiła stanowczo przywdziać togi i stawienia się na egzaminie w dziwnym średniowiecznym stroju. — Fakultet uwolnił ją od ezezej formalności.

Przykład tej pani posłużył innym. Wkrótce już p. Bilcesco nie będzie jedyną doktorką prawa fakultetu paryżkiego. Za kilka tygodni młoda Francuzka panna Chauvin będzie broniła swej rozprawy, ubiegając się o stopień nauczycielski, tak zwany tutaj: „*d'agrégé*“. A ponieważ ma ona, jak powiadają, wszelką pewność przełamania tej trudności, *diplôme d'agrégé* da jej też prawo do zajęcia katedry profesora — a więc do urzędu publicznego. Zatem kwestya dopuszczenia kobiet do pewnych urzędów, sprawowanych dotychczas wyłącznie przez mężczyzn zostanie ostatecznie i kategorycznie postawioną.

Habeant sua fata... mawiali starzy Rzymianie, książki — miewają je też i ludzie... Sprawdziło się to na wyborze do Akademii Francuzkiej, Piotra Loti — a rzeczywiście lejtnanta marynarki, p. Vinaud. Postawienie tej kandydatury, wziętej pod wszechmocną opiekę przez akademików Mézières, Renan i Sully-Prudhomme, było skutkiem jednogłośniego domagania się prawie całej prassy, w imieniu niby całej publiczności. Rzeczywiście jest jeden z tych częstych tu faktów, chwilowego zacietrzewienia się. Kiedy ludzie tutejsi, zapragną czegoś, wówczas nie pytając: po co i na co — wołają w niebogłose: „Szybki z okna, — kafla z pieca!“

Panował ten zapal aż do posiedzenia, na którym stało się przyjęcie oficjalne do Akademii nowego nieśmiertelnika, aż do wygłoszenia jego recepcyjnej mowy. Poczem chorągiewka na dachu zwróciła się w przeciwną stronę, a ten wczorajszy ulubieniec wart był zaledwie wspomnienia. Wczoraj było to bożyszcze kobiet (i kobiety też wprowadziły go do Akademii — jak kobiety go tylko czytają P. Red.); dziś ci sami dziennikarze, które wonności przed nim palili, zapytują: zkad taki człowiek wziął się w akademii — taki mały w przybytku tak wielkim? — Jak można go było wprowadzić, kiedy tylu większych pisarzy, poetów czeka za drzwiami?

I tak ten ulubieniec wczorajszej doby, ten autor wybrany z tysiąca, ten bohater, pisarz *di primo cartello*; — dziś jest już, co najwyżej, tylko zagadką; a że go ukademiczono jako niewątpliwą wielkość; widać ztąd, ile stracił, jak nisko spadł, niby wyniesiony tak wysoko. Zabiła go jego mowa, pierwszy chrzest krasomówczy w akademii. Chciało się zachwycić: nie miano czem. Najzapaleńsze Zelantki, które tłumnie zbiegły się na posiedzenie, aby oklaskami swemi narobić tego specjalnego hałasu, do jakiego sława tylko ma prawo, w tym dniu, tak długo oczekiwany poszły spać w smutku i melancholii, — złudzenie rozwiło się jak sen. Ubóstwiona wielkość przemówiła, jak przemawiają umysły średniej miary.

Widzę jeszcze i słyszę to wrażenie publiczności — złożonej przeważnie z kobiet. Wraz z ukazaniem się Lotiego, w nowym fraku munduro-

wym z zielonawym haftem, którego świeżość dziwnie odbijała od starych, wypłowiałych mundurów jego kollegów i patronów, wszystkie oczy skierowały się ku niemu tylko, a on sam, mały, szczupły, z głową przypominającą papugę, z garbatym nosem, z wypiekami na wydatnych policzkach, ciekawym wzrokiem patrzył przed siebie, zdziwiony zapewne tem, iż widzi same prawie kobiety i kobiety... I rzeczywiście oprócz akademików, nie było w sali może więcej nad pięćdziesięciu reprezentantów płci brzydkiej.

Posiedzenie zagajono. Dyrektor p. Mezières dał głos nowemu nieśmiertelnemu. Nieśmiertelny przemówił. Powoli, stopniowo ogarniało publiczność zdziwienie blizkie prawie zupełnego rozczarowania.

Niestety, o czem innem publiczność ta wyborowa marzyła — co innego dostała!

Przedewszystkiem trzeba powiedzieć, że p. Loti, nie jest ani mówcą, ani wdzięcznym lektorem. Głos, o twardym i ordynaryjnym wdziku, nie ma tego brzmienia, jakiego oczekujemy zwykle w głosie poetów; jest suchy, z jakąś posępną a bardzo nikłą brzmiennością. P. Loti skanduje dziwnie trochę to co mówi, robi peryodyczne i zbyt częste przestanki. Po każdym peryodzie zawieszają głos a z przestanku tego słuchacz w żaden sposób zdać sobie sprawy nie umie i razić go tylko może przewranie wątku myśli, jakiego się p. Loti bezmyślnie dopuszcza.

Przytem, na pierwsze swoje wystąpienie obrał sobie nieśmiertelny za przedmiot — samego siebie, a o przedmiocie tym mówi, zbyt obszernie i długo — boć znowu przedmiot, choć może ciekawy i nawet wielki, nie jest przecież niewyczerpanym. Pomimo ozdób stylowych, przykre sprawiło wrażenie ciągłe *ja i mnie*. Za wiele tego było nawet dla przyjaciół. Zwyczajem przyjętym powinien był p. Loti mówić o swoim poprzedniku Feuilletcie — miał mu wygłosić mowę pochwalną urzędową. Na takie pochwały regulamin akademii zostawia 50 minut czasu — tylko tyle, nie więcej. Trzeba się więc trzymać ściśle przedmiotu, aby z trójnoga akademickiego powiedzieć coś, co by i sławnej akademii i sławionemu w niej i przez nią nieboszczyka było rzeczywiście godnem. Publiczność, słuchając p. Lotiego, od pierwszych już słów ze zdziwienia wyjść nie mogła — a przy dalszych zdziwienie jej ustąpiło miejsce niezadowoleniu. Nie, to nie była pochwała Oktawiusza Feuilleta. Nie, to było opowiadanie osobistych wrażeń z historii życia samego Lotiego. Specjalnie dobrana a pomimo wszystko sympatyczna publiczność, poprzestałaby i na tem bez szemrania — gdyby ta autobiografia, zbyt osobista — nie trwała za długo, przeobrażając się na koniec w ciekawe porównanie, które tenże Loti, wyprowadza pomiędzy samym sobą a Oktawiuszem Feuillettem i pomiędzy kobietami swojemi a Feuilleta.

Czy Loti spostrzegł się w końcu, że te sztuczne parallele trwały zbyt długo, czy też wylał już nareszcie wszystek swój olej? Dość, że cierpliwi, — o jakże cierpliwi! — słuchacze usłyszeli nagle naiwne wyznanie, którego nikt spodziewać się nawet nie mógł:

„Wpółśród rozmów tych legend, — mówił p. Loti, — które wytrworzyła na okoł mojej osobistości zbyt częsta i długotrwała nieobecność moja w kraju — i które w ogólności warte są tylko śmiechu, jest jedna, prawdziwa: „Ja nigdy, nie nie czytam“. — Jest to prawda; czy wskutek lenistwa, czy przez niewytłómaczoną bojaźń myśli, wyrażonej piśmem, czy z powodu jakiegoś zmęczenia, które mnie napada, już za nim czytać zaczęć: dosyć, że nie czytam weale. Nie przeskadza mi to bynajmniej zapalać się do książki, jeśli ją przypadkiem otworzę i spostrzegę, że warta jest tego, aby ją przeczytać“. Nie prawdaż, że, jak na akademika, to dość odważnie.

Opowiedział następnie Loti, teraz w wyborczy sposób, wspomnienie dwóch książek czytanych i wrażeń, jakie na nim sprawił autor tych książek. W tej chwili słuchamy już, nie biografii Piotra Lotiego, ale delikatnej, czulej i poruszającej pochwały Oktawiusza Feuillet'a, i opowiadania o je-

go życia. Ta cała druga część mowy była słuchaną daleko pilniejszym uchem, a publiczność głosnemi i częstemi oklaskami, przyrywała ją co chwila, bo sześcieliwe wyrażenia szły tu ślad w ślad za doskonałą jasnością myśli.

Kończąc ten przebieg żywota zmarłego pisarza Loti dodaje: Feuillet już blizki śmierci, tak mówił, z wyrazem smętności bez granic: Nie zrozumieją mnie już „dzisiaj. Realizm odpycha mój ideał“. — I odszedł z tą błędną myślą, tak dlań bolesną, że jego utwory dobiegły swojego czasu i nie będą poczytne.

„Przeciwnie, — powiada Loti — utwory jego żyć będą, i gorące oklaski publiczności potwierdziły ten wyrok, — że dzieło jego trwać będzie, sam nawet ideał Feuillet'a, nie zaszkodzi mu bynajmniej, w tej przestraszającej przyszłości, gdzie z nas wszystkich szczydzić będą, według naszej wartości prawdziwej“.

Tu mówca przypuścił gwałtowny atak do twierdzy naturalizmu, a publiczność przyjęła go oklaskami. Ustęp ten zresztą, zapowiadano naprzód, jako trochę tej soli atykiej, w której się kochają Francuzi. P. Zola, który jest obecny w sali posiedzeń wraz z żoną — słucha tego spokojnie, i zdaje się mówić: „Godzina moja nie wybiła jeszcze!“

Piotr Loti po tej wyprawie na naturalistów wraca jeszcze do dzieł Feuillet'a, zapowiadając im długą i pomyślną wziętość. — Kończy swą mowę, ciekawym rzutem oka na ten wiek XX zagadkowy, tajemniczy, a stojący w progu.

Trzykrotnie huczne oklaski zagłuszyły ostatnie słowa prelegenta. Poczem dyrektor Akademii p. Mézières, czystym i donośnym swym głosem, odpowiedział, według zwyczaju, nowo obranemu.

Z tej wymownej i dowcipnej odpowiedzi dają tu tylko początek. — Szczupłe miejsce nie pozwala na więcej:

„Dzisiaj mamy dzień świąteczny dla marynarki. Na nieszczęście, brakuje tu tego, z pomiędzy nas, który więcej, niż ktokolwiek inny, miał prawo przyjąć w udział w naszym obchodzie.“

„Za nim odpowiem panu, pozwól mi, że się pokłonię, w imieniu Akademii, walecznemu admirałowi (Jurien de la Gravière, zmarłemu przed miesiącem, któregoś obrał za swego patrona, który ci dał podwójny przykład, pięknego żywota marynarza, i równie pięknego życia literackiego. Dowiedliście obaj, że marynarka nie zadawała się służeniem Francji odwagą i mieczem, ale, że jej przynosi cześć talentami pisarskimi. — Piszcicie tak dzielnie jak działacze, i nikt o tem nie wystąpił, słuchając przed chwilą pana“. I dodaje z ironią: „Ja, jak wszyscy przytomni, uległem czarowi słów pana, a jednak chciałem pocichu podszeptać ci przyjacielski wyrzut, żeś mi odebrał najprzyjemniejszą część mego zadania, mówiąc sam o sobie w sposób, w jaki miło-by mi było się wyrazić, gdybyś ty sam nie był mnie wyprzedził w tym względzie“.

Piorunujące oklaski zakończyły posiedzenie. Loti wyszedł z niego zmniejszony, zmalala, to jest do właściwej zredukowany proporcji; uczył się nawet w obowiązku nazajutrz napisać list do Zoli, z przeproszeniem — list niepotrzebny, a odpowiedź grzeszna.

Miał słusność ten Francuz, który napisał: „Nie trzeba zbyt długo skrobać pana hrabiego Stanisława Rzewuskiego, aby pod skórą Polaka, odszukać Paryżanina.“ Jest on nim w istocie, kiedy chodzi o zręczność i wprawę, z jaką umie się kierować wśród rozbujających fluktów bruku paryzkiego. Mało jest nawet prawdziwych Paryżanów, tak kutych ostro, jak nasz rodak. Napisać, a prawdziwie mówiąc skleić, dramat lub komedya, każdy potrafi w miarę swej zdolności; ale dać przelknąć, jednemu z obrotniejszych dyrektorów jakiegobądź teatru paryzkiego sztukę podejrzaną wartości literackiej, na to potrzeba być już bardzo zręcznym lub rozporządzać środkami miękczącymi opór ludzki. Otóż tego właśnie dokazał w tej chwili p. St. Rzewuski. Dramat jego, pod tytułem *Le Justicier*, jakby to polsku przetłómaczyć? *Mściciel* czy *Wykonawca sprawiedliwości!* — przyjęty został i przedstawiony w teatrze niższego rzędu, w „Ambrigu Comique.“ Czy wystawiono go z przepechem o to nie ma co pytać. Publiczność „Ambrigu“ *in gratiam* ulubionych swoich aktorów, zno-

si i pożera wszystko co jej podadzą. Jak więc przyszło do tego, że dyrektor podjął się wystawy? że cała prassa była powolną i przychylną? to jest właśnie „sekret autora“ co byłoby nawet właściwszym tytułem dla tej sztuki, niż ów francuzki *Justicier!*

Nowa ta sztuka jest zlepkiem sztuk, Zamiast jednej — mamy aż dwie a nawet trzy sztuki, chaotyczne, rozwlekłe i słabe. Poczynając tak sobie na scenie francuzkiej *à la Shakespeare* wolno tylko, albo w pierwszej młodości, albo też wtedy, gdy się szybuje na skrzydłach geniuszu.

O jedność akcyj — nie ma co pytać, kiedy sztuka składa się z dwóch wyraźnie odrębnych części; zostaje pytanie: co tu było do widzenia?

Książę Filip de Mora zgrał się i w tej katastrofie utopił całą swą fortunę swej żony Ludwiki, którą oszukuje zresztą z jakąś Vandergold. W ostatniej potrzebie pieniędzy, książę udaje się do nikajkiego Rudolfa, utrzymującego dom gry, o pożyczkę sześćdziesięciu tysięcy franków. Ten, wiedząc, jak stoją interesa proszącego, odmawia, ale daje radę udać się do panny Vandergold, która posiada ogromną fortunę wszak książę ma się właśnie rozwodzić z żoną, żeby poślubić tę awanturnicę. Tak się też staje, ona płaci długi jego i wyjeżdża do kraju, gdzie ma się odbyć rozwód i wesele. Żona, która w początku była przeciwna, zgadza się nakoniec, pożyczka nawet pieniędzy od swego rządcy, aby zapłacić długi księcia pana — niestety, zapóźno!

Tu nowa zapora staje na przeszkodzie tym pięknym układom — wla-ny syn księcia Filipa Andrzej On-to właśnie jest *Mścicielem* — patrzył na cierpienia matki; widział występki i niegodziwość własnej społeczności; jest radykalista z uczuć swych i sposobu myślenia. Dowiedziawszy się o układach księcia ojca z Esterą Vandergold, zjawia się nagle i otoczony tajemnicą staje przed Esterą i zmusza ją do opuszczenia ojca.

Ale niestety, *Justicier* — nie jest to wcale posłaniec sprawiedliwości. Był on jednym z wielbicieli awanturnicy Estery — kocha ją dotąd i zazdrość nurtuje go jeszcze dzisiaj. To też wkrótce, przychodzi do zgody; ale gdy pomimo to Estera nie chce zerwać z ojcem, zrozpaczony Andrzej, zabija ją!

O tę zbrodnię oskarżony jest książę-ojciec, który sam pozostał przy trupie awanturnicy. Osądzony, idzie karę niesłusznie odcierpieć za swego syna. Napróżno Andrzej, aby ratować ojca sam się oskarża: jego dobrze obmyślane *alibi* przemaga. Nieszczęśliwa żona towarzyszy mężowi. W drodze ojciec spotyka się z synem, któremu przebacza, nakazuje mu żyć i zająć się losem córki Estery.

Tu jest koniec pierwszej części; druga zaczyna się w kilka lat później.

Książę Filip i jego żona Ludwika pomarli. Syn się zajmuje ową córką i wyjeżdża do Ameryki, aby zrobić majątek. Wraca panem ogromnej fortuny — i stara się odszukać ową Esterę w drugim pokoleniu. Znajduje ją, naturalnie ale, niestety! pod nazwiskiem Olimpii Rival.

W takich okolicznościach znajduje ją Andrzej i ofiaruje jej zapewnienie wspaniałe losu — bez żadnego zobowiązania się jej osobistego. Olimpia i kocha zarazem i nienawidzi, — sama nie wie co i dlaczego. Żąda wyjaśnień od Andrzeja — ale nim je dostała, zakochany w niej dziennikarz, zrozpaczony i wściekle zazdrosny, wyzywa tymczasem milionera na pojedynek. W toku rzeczy dowiaduje się od niego Olimpia, że zabójca jej matki, jest właśnie Andrzej. W pojedynku z dziennikarzem ginie zabójca Estery. Córka mu przebacza.

I na tem koniec! Osądźcie sami, a jeśli w tej dramatycznej sztuce znajdzie się kilka scen dobrzych, jak naprzykład, wszystko co się dzieje w Bex-lesbains, to nie ratuje sztuki. Cóż ją ratuje? Oto, że autor oddał sztukę bezpłatnie, zapłacił naprzód wszystkie koszta wystawienia — zrzekł się z góry i nazawsze wszelkich praw autorskich. Jest to więc prawdziwie — *Sekret autora*.

Jeden z tutejszych krytyków, ten-sam, który w p. Rzewuskim widział prawdziwego paryżanina — wykręcił się sianem i, niemając co powiedzieć o dra-

macie, zapelniał swe zdanie sprawy takimi szczegółami, jak naprzykład, następujący:

„Jego pochodzenie (p. Rzewuskiego) — powiada — przeznaczalo go do literackiego zawodu. Będąc wnukiem (petit neveu) Balzaca, przez panią Hańską, żonę genialnego pisarza (myli się, bo ponieważ pani Hańska, była siostrą Adama Rzewuskiego, ojca p. Stanisława, ten ostatni przeto jest siostrzeńcem, nie wnukiem, Balzaca), i synem hrabiny Jadwigi Rzewuskiej, kobiety wyższej. I tak wziął on po Balzaku, żywe zamiłowanie bystrego spostrzegania, od matki — instynktowe dążenie do studyów historycznych, a do tych dwóch już wawrzynów, dorzucił jeszcze jeden: laur powodzeń scenicznych.“ Tak się pisze reklamy!

— 2 —

PRZEGLĄD TEATRALNY.

CV.

Maggi w Otellu. Jeszcze kilka rysów do jego charakterystyki. — **Bankruci**, sztuka w 4-ach aktach, *Alfreda Kowna*, poraz pierwszy d. 11 Maja na scenie nowo otwartego po zimie Teatru Letniego. — Nowości oryginalne sceny warszawskiej w ostatnich czasach (**Perla**, **Parawanik**, **Schadzka**).

Otello Maggiego pogłębia jeszcze i wzmacnia podaną tu charakterystykę aktorskich jego zdolności. Wszystko, co się z umysłowości najrozległej pojętej umysłowości daje; wszystko, co z głębin duszy odbić można na powierzchni ciała; cały człowiek wewnętrzny w sztuce, żywy, żyć i przejawiać się zobowiązany na zewnątrz — taka jest główna troska, i główna też zasługa tego niepospolitego talentu. Staje on przed nami jako wyjątkowa potęga plastyczna, współrzędna z talentem malarskim i rzeźbiarskim — potrzebująca nawet dla siebie otoczenia z wystawnej malowniczości, usiłująca je wytworzyć z własnej postaci, gdy go scena sama i scenarzysta nie daje. Te wargi wywinęte w V akcie *Otella* same wystarczyłyby już do stwierdzenia znamiennej żądry artystycznej, dla widza kształtującej się w znamienny też rys artyzmu. Maggi, który z dwóch typów etnograficznych Otella wybrał łagodniejszy, maurytański, tak wybornie przypadający do jego pięknej postaci, przez całą sztukę nie użył ani razu powyższego efektu plastycznego: wprowadził go dopiero wtedy do gry swojej, kiedy potrzebował czerwonością warg, jakby plomieniem zajętych, odmalować piekielność namiętności, która go już wówczas nad pogromcą wrogów Wenecyi znęca się, jak nad powalonym jeńcem. Niższość duchowego, czysto psychologicznego pierwiastku w deklamacji — nazywam tak w ogóle wysłowienie — jaką wykazuje porównanie z Rossim na niekorzyść Maggiego, dotykana się stała w klasycznym opowiadaniu aktu I sceny III o początku miłości Desdemony. Lepiej, z większym poszanowaniem wrażliwości estetycznej, zabijał się Maggi, niż Rossi: nie nożem, ale sztyletem; ale brutalne duszenie Desdemony przy rozsuniętych zasłonach, przyciskanie drgającego ciała kolanem — cała ta plastyka czynu popełnionego we wściekłości sprawiała wrażenie ujemne, wstrętne takie, jakiego sztuka dawać nie powinna. Najlepiej to duszenie wychodziło w „Otellu“ naszym własnym, domorosłym, kiedy Modrzejowska grała Desdemonę, aby w piątym akcie uraczyć widzów tym sławnym dwuwierszem już przed samem skonanem (do Emili — pytającej: kto był mordercą?) „Nikt, nikt, ja sama, ja sama, ja sama. Bądź zdrowa! Miłemu panu poleć mnie, żegnajcie!“ P. Leszczyński dusił w poduszkach, za uchyloną zasłoną. Jest w życiu wiele zjawisk, które w sztuce przemawiają tem głębiej, im mniej mają żywej wyrazistości. Oko z takich zjawisk odtwarzanych na scenie nie ma prawa wszystkiego dla siebie zabierać; powinno coś zostawiać dla wyobraźni.

Bankruci Alfreda Konara (pseudonym) są pierwiosnkiem wiosny jego talentu. Przypuszczam, że dlatego tylko autor oddał dzieło swoje na scenę, iż chciał wysłuchać zdań krytyki i po rozważeniu ich poznać te drogi, na które talent rzetelnie dramatyczny nigdy wchodzić nie powinien. Wolno nie wiedzieć jak się pisze sztuki, ale wiedzieć koniecznie potrzeba jak się ich nie pisze. Zdobyć takiej wiedzy pozwoli Konarowi wykształcić się na pisarza dramatycznego, jeżeli tylko natura nie odmówiła mu zdolności choćby niepierwszorzędnych. W *Bankrutach* nie widać indywidualnej oryginalności, a widać niezajomość życia, przy wielkiej znowu banalności tego, co niby z poznania świata i życia wypłynęło. Prawo prawdopodobieństwa, nakaz logicznej jedności charakterów, konieczność przyczynowego związku przygód psychologicznych wewnątrz samego człowieka, niezbędność motywowania uczuciami, ruchami i odruchami egoizmu zewnętrznymi przygód określających stosunki pomiędzy ludźmi dramatu — wszystko to Konar uważa za coś leżącego poza obrębem kardynalnych praw dramaturgii. Razi w nim nadewszystko zupełna bezsilność w tworzeniu charakterów; glina, z której je lepi autor, rozsypuje mu się w rękach. „Napisz mi na początek sztukę najgorszą nawet, najniezręczniejszą, zdradzającą niezajomość form, w jakich się przejawia egoizm w życiu człowieczym; pisz bez znajomości sceny — boś na nią nie miał czasu — bez znajomości świata, który w męzkim dopiero wieku będziesz mógł ująć, przytrzymać, i rąbać niepodległym z pod czarów życia wyzwoleonym rozumem — pisz co chcesz i jak chcesz: ale niech ja w tem, co ty najgorszego nawet napiszesz, dostrzegę, że czujesz, że odczuwasz człowieka, jego naturę, duszę, jego indywidualność, — to, co się w nim pali, błyska, kłębi i przewała, lub co swobodnie już bez żaru namiętności, w dobrej wierze się objawia lub mimo woli zdradza. Tylko mi nie dawaj marionetek i strzępków: bądź poeta.“ — Przestrogi takiej, rady takiej, słuchać powinien każdy poczynający autor dramatyczny przed zabranieniem się do pisarskiego rzemiosła, a jeżeli jej poza sobą nie znajduje, znaleźć ją powinien w samym sobie.

Gdyby autor *Bankrutów* zechciał ich poddać analizie ze stanowiska takiego poglądu, przekonałby się, że jego Jerzy Bożykowski w każdym akcie inaczej wygląda i w czterech aktach sztuki przypomina bóstwo o czterech twarzach a dziesięciu ramionach; że siostra Jerzego, Helena, nie wie dlaczego kocha, nie wie co mówi i robi, nie wie jaką jest a jaką nie jest; że jej niby wypierścinkowany już narzeczony, Zahorski, jest dragalem bez żadnej zgoła treści, niezdolnym nawet do łowienia posagów, a cóż dopiero do zajęcia widza, któremu zadowolenie sprawia tylko swoim zejściem ze sceny już w akcie II. Gdyby Konar rozebrał swoje charaktery, poznałby, że jego przemysłowiec Bożykowski nie ma w sobie ani skry indywidualności; że jego żona Sydonia jest nad wyraz bladą mamą z *Friebe*; że Krzysztof Bauer jest równie niemożliwym mężem, jak handlującym, a lichwiar Glücksman naiwnością swoją przypomina te błogosławione czasy, kiedy weksli na świecie jeszcze nie było; że Piórkiewicz plenipotent Bożykowskiego nie ma absolutnie co robić w sztuce, że Graciek Tomkiewicz jako filozof mógłby wystąpić tylko w cyrku; że nakoniec baron, naśladowany z innych, niezliczonych komeydi, płacze się po sztuce jak piąte koło u wozu — nikogo nie rozśmieszając, ani w sztuce samej, ani w sali widzów — chyba jakieś sfery niewybredne.

W trzech tylko postaciach przebija się lepsze poczucie tej krystalizacji, która się w charakterach, składanych z aktów woli i bezwiednych popełnień, dokonać musi: we Franku Bratkowskim, w młodszej córce Bożykowskich, Zosi, która w końcu sztuki za Franka wychodzi, i w Klarze, żonie Fabera, przysięgającej humorystycznie na „łysinę męża“, a nie humorystycznie już przygotowującej mu rogi do wspólni z owym nieszczęsnym Jerzym. I tutaj są skazy, są wysoki nielogiczne, są rzeczy niepotrzebne i rzeczy pominięte; ale przynajmniej jest jakaś miąższość w charakterach, jakichś w nich środek ciężkości — zwartość wewnątrz, wyodrębnienie nazewnątr.

Najlepszym, najskładniejszym jest akt I. Mamy w nim t. z. *expozycję*, obraz obyczajów, ale jakich obyczajów? Słusznie ktoś zauważył, że nie z tej sfery, do której Bożykowscy należą. W akcie II trzy męża, żony i kochanka; w akcie III pornograficzny duet żony z kochankiem, później z mężem, pokazują, że Konar ma pióro najskładniejsze do kreślenia takich właśnie postaci i stosunków. Akt IV jest tak słabym, tak straszliwie słabym, że nie można go słuchać bez zmęczenia. W całej sztuce czuje się brak pierwiastku etycznego, idący równoległe z brakiem rozumu, zdolnego sztukę składować. Pociąg do rodzajowości, do realizmu, naturalizmu, zolizmu, — jak tam to wszystko nazwać! — jest dziś najsilniejszą pokusą dla pióra Konara; ale, jeżeli pierwszym warunkiem, pierwszą kwalifikacją do bractwa literackiego, z którego pobożni zaczynają się już skwapliwie wypisywać, ma być zdolność naśladowania natury przez malowanie prawdy, choćby najohydniejszej jako zjawisko, to czyn Konara w *Bankrutach* nie stoi na wysokości jego zamiaru. Przypuśćmy, że ten narząd umysłowy, który zbiera objawy życia do samowiedzy poety czy pisarza, jest tylko aparatem fotograficznym, chwytającym co się następuje: kawałek muru, kosz pomarańcz, łapę kota, pysk psa, anogę uciekającego chłopca, — i że z tego wszystkiego w kupie pozostaje już dostatecznie skomponowana kompozycja realistyczna — jaki dla siebie żąd przywilej wyzwolenia z pod *ciasných i sztywných formulek pedanterji estetycznej* wyprowadzić ma prawo pisarz holdujący realizmowi? Taki tylko, jakiego zażywają „Freie Bühne“ w Berlinie, „Théâtre libre“ w Paryżu, przedstawiające wszystko, co w życiu być mogło, a więc i kaszel, i katar, i bieliznę w balii, i łóżko nieposłane i najblahsze nawet, a wcale nie estetyczne i nie dramatyczne historie, jak powiększenie ludności świata o jedno indywiduum. Jest to powieściarstwo rozpasane na scenie a trzymające się *ventre à terre* — zmysłów i rzeczy pod zmysły podpadających. Ale „realizm“ taki nie upoważnia do traktowania samych charakterów jako przedmiotów fotografii rewolwerowej. Tu już nie wolno chwycić co się nawinie: potrzeba dobrać do tematu, gromadzić naokoło wspólnego ogniska, snuć z jednego pasma. Cała sztuka dramatyczna jest właśnie sztuką tworzenia jednolitych zajmujących charakterów. To stanowi jej realizm, zalecany przez *ciasne i sztywne formułki pedanterji estetycznej*. Takim realistą Konar być nie umie, zdaje się mu tylko, że jest w istocie zaś czuć w nim jedynie holdowanie modzie realistycznej. Dla mnie takie tworzenie, bez umiejętności odczuwania i odbijania człowieka, choćby tylko w owym aparacie fotograficznym mózgu, jest najczystszy idealizmem, w jego metodycznym znaczeniu. Bierze się z siebie, nie z tego co realnie rzeczywiście istnieje.

P. Lüde gra Klarę namiętnie i przy pomocy bardzo pięknych, jak zaręczają kuryery, toalet, zajmuje widzów. P. Ostrowski, jej mąż, dla poważnej roli znalazł w sobie dramatyczność, przebłyskującą istotnie w Faberze, chociaż nielogicznie i niezręcznie. P. Rapacki umierający już w akcie I, Bożykowski talentem swoim wypełnił cześć rolę. P. Niewiarowska była poprawną matką Bożykowską, a p. Trapszo Zosią. Obaj reżyserowie, wraz z p. Barszczewską i p. Frenklem mieli ciężkie bardzo zadanie. Co tu począć z takim Jerzym (p. Ładnowski), pozlepianym z różnych kawałków, z takim Zahorskim (p. Kotarbiński), zrobionym z piany, z taką Heleną, (p. Barczewska) która robi wszystko — a nie nie robi, z takim Merkelem (p. Frenkiel) przez całe 4 akty powtarzając tylko „Jestem tego samego zdania“ — i to w nie zawsze dobranej sytuacji! P. Prażmowski ruchliwością swoją w Bratkowskim wykończył malowidło autora i przyczynił się do rozbudzenia usypiającej uwagi widzów.

Poranek na dochód rodziny po reżyserze Janie Tatarkiewiczu pomnożył zasobnie sceny trzema oryginalnymi nowościami jednoaktowymi. P. Gawalewicz wziął sobie przedmiot z „Żywotów malarzy“ Vasarego: wybrał Leonarda de Vinci we Florencji, na samym początku XVI w., już w pięćdziesiątym roku życia. Twórca „Wieczery pańskiej“, maluje właśnie ów sławny portret Mony Lizy,

inaczej Giocondy, który w Luwrze czaruje i przykuwa do siebie jej spojrzeniem. Malując, kocha się Leonardo w żywym wzorze, kocha się tą miłością szlachetną, prawdziwie już idealną, do jakiej zdolnym był człowiek tego, co on, idealizmu w sztuce. Długo ludzi się wielki artysta (p. Kotarbiński), że ma do malowania i kochania coś więcej, prócz pięknej — a, jak z portretu widać, niezupełnie już młodej, twarzy: wierzy w duszę Mony Lizy, wyczuwa ją pod powłoką pięknego ciała, kocha i zakłóć miłością swą pragnie, aby mu się objawiła. Daremnie! Piękna pani (p. Lüde) jest tylko piękna! Zima jak głaz, woli trywialną perłę u szyi swej rywalki, o której nie wie, aniżeli wzniosła perłę uczucia, jaką obdarzał ją duch taki, podniosły, jak Leonardo. Artysta rozczarowany, po rozwikłaniu tragicznego węzła, który się bez niego zadzierzgnął, powraca do dawnej miłości dla Margeryty — po łacinie i po włosku: „Perly“ (p. Marczello).

Ta Margeryta polyskuje w sztuce dramatyzmem silnej zazdrości: z rykiem rwie się do portretu, chce Giocondę otruć. Szczyściem przeciw jej zazdrości nieludzkiej — przyjaciel i gospodarz Leonarda, Francesco Rustici (p. Prażmowski) używa już w samym początku sztuki przejrzyściego podstępów: zobowiązuje się sam przygotować trujący napój. Dzięki temu podstępowi sztuka rozwiązuje się w sposób łagodny. Mona wcale nie podnosi pułahu do ust, a zrozpaczona odrzuceniem, wychyla z niego tylko orzeźwiający napój. Leonardo, poznawszy potęgę jej uczucia, powraca na dawne drogi; będzie znowu kochaną, kochaną przez człowieka sławnego na całe Włochy — istny przybytek geniuszu. Może być większe dla kobiety szczęście? Czy godną go jest Margeryta? Niema niegodnej; każda znajdzie swą czastkę, a samo zespolenie z wielkim nazwiskiem rzuca urok, daje nieśmiertelność. Kobieta kochana przez wielkiego człowieka, jak księżyc, jaśnieje zawsze światłem z niego bijącym.

Wiersz potoczny, jasna poetyczność, liryzm, odbijający w sobie miłość ideału, a w nim *Gedankenpoesie* szczerą, swobodną, dla wszystkich zrozumiałą i dostępną, nadaje *Perle* p. Gawalewicza prawo i do rzetelnego uznania i do długiego powodzenia na scenie. — P. Piotr Maszyński napisał do sztuki muzykę, która przegrywała Monie Lizie podczas siedzenia do portretu. Wystawa, kostiumy wspaniałe, historyczne. Tylko dlaczego nie historyczną, nie podobną do portretu, jest sama p. Lüde, jako Mona Liza?

Parawanik, komedia w 1 akcie p. Michała Wołowskiego i *Schadzka*, krotoczwila w 1 akcie p. Zygmunta Przybylskiego, nie wzbogaciły repertuaru. *Parawanik* ma temat, niebudujący wprawdzie, ale dobry na komedię — tylko nie na jednoaktową. Piękna wdowa ma licznych wielbicieli — od czegoż piękna i wdowa? — każdemu mówi, że jest jedynym wybranym jej serca, a wszystkich oszukuje. W końcu oszustwo się wydaje i wdówka zostaje na koszu, z jakim tylko Brzeskim, któremu przez cały czas sztuki w jadalni czekać kazano. Ściśnięta w jeden akt, sztuka z takim tematem i z takimi, jak owi wielbicieli charakterami i ich dowcipami, jest facecją, w której wartości bądź literackiej, bądź scenicznej, dobadywać się nie potrzeba.

Jeszcze mniejszą uciechę sprawiła widzom *Schadzka*. Kto swoim *Pierwszym balem* w roku przeszłym umiał tak się podobać, tak nawet wzruszyć, kto *Wickiem i Wackiem* wkwaterował się od razu do gościnnego lokalu komedyopisarstwa; kto podrażnia słabe nerwy *Grajkiem*, a w *Dworze we Władkowicach* zaczął już pisać komedye — ten mógł nie brać wcale pióra do ręki na napisanie takiego niedowcipnego żartu, jak *Schadzka*. Gdy się już złe stało, autor nic lepszego zrobić nie może nad to, że uzna dzieło swoje *comme nul et non avenu* i przynajmniej na scenie już więcej ukazać mu się nie pozwoli.

Stanisław Krzemiński.

Z bieżącej chwili.

— W Petersburgu otwarta będzie w roku przyszłym na wiosnę wystawa higieniczna, dzieląca się na pięć sekcji: I. biologiczna, II. statystyki sanitarnej lekarskiej i geografii lekarskiej, III. higieny miejsc zaludnionych, publicznych i prywatnych budynków, oraz zakładów fabrycznych, higieny żywności, higieny odzieży, utrzymania czystości i dezynfekcji, IV. higieny wychowawczej, V. sekcja geologiczna i klimatologiczna.

— Między Petersburgiem a Moskwą ma być zaprowadzona komunikacja telefonowa, kierunek projektowanej linii wzdłuż starej szosy moskiewskiej miałby rozległości 676 wiorst. Koszta obliczono na 314,000 rs., użyto-by dwóch drutów miedzianych, cztero milimetrowej grubości.

— Na Nowej Pradze jeden z przedsiębiorców warszawskich buduje dom z motorem parowym dla użytku drobnych rzemieślników.

— Warszawa liczy 490,417 mieszkańców: mężczyzn 230,634, kobiet 259,783.

— Ponieważ z powodu drożyzny, wystawa nasion i produktów rolniczych w roku bieżącym nie doszła do skutku, komitet Muzeum Przemysłu i Rolnictwa postanowił urządzić rzeczoną wystawę zaraz w styczniu roku przyszłego.

— Roboty koło dalszej budowy kościoła Ww. Świętych na Grzybowie, już się rozpoczynają. Poprowadziła je w d. 20 b. m. uroczysta msza, odprawiona przed wielkim ołtarzem przez miejscowego plebana, ks. T. Matuszewskiego. Prezbiterium było wspaniale oświetlone świecznikami gazowymi. Obok budowniczego, kierującego robotami, znajdowali się i majstrowie, którym powierzono tu roboty.

— P. Bolesław Jacuński, który na warszawskim konkursie rzeźbiarskim, otrzymał list pochwalny za płaskorzeźbę Matki Boskiej Ostrobramskiej, a poprzednio w Wilnie medal srebrny, ma rozpoznać ten utwór w kopiach z terracoty. Obecnie artysta ten posłał na wystawę w Monachium trzy terracoty.

— W Studzieńcu, w osadzie rolniczo-rzemieślniczej dla nieletnich przestępców, mieści się ich większa niż kiedykolwiek liczba, przeciętnie 160 chłopców. Od czasu wzniesienia tego pożytecznego zakładu zwolniono po dzień 1 Stycznia b. r. 542 wychowanków, a z pomiędzy tych wywołano na majstrów 6, na czeladników 105. Z wychowanej tam młodzieży posiada własne gospodarstwa lub warsztaty 265, między tem jest 46 żonaty. Pozostaje jeszcze pod opieką Towarzystwa 120, prowadzi się zupełnie uczciwie 407. Od czasu otwarcia osady (w 1876 r.) było recydywistów: w pierwszym roku po opuszczeniu zakładu 6, podczas trwania opieki 3, po ustaniu opieki, to jest po doświadczeniu do pełnoletności 15. Z końcem z. r. Towarzystwo liczyło 1.099 członków, Towarzystwo utworzyło w osadzie Puszcza przytułek poprawczy dla dziewcząt, gdzie obok skazanych wyrokiem sądowym, przyjmowane są żebrzące nieletnie sieroty od 8 do 14 lat, i gdzie obok wychowania udzielane są na gospodynie wiejskie. Komitet wybrany przez delegację składają: pp. Wład. Holewiński, hr. Stanisław Łubiński, Alexander Mollenhauer, Wład. Nowakowski, hr. Wincenty Walewski.

— Działalność pożytecznego bardzo zakładu, muzeum pszczolniczego na Koszykach, zwiększył się z powodu, iż pseudo muzeum przy ul. Ujazdowskiej, zostało zwinięte z powodu śmierci kie-

rującego nim A. Lewickiego. Muzeum nabyło pasiekę złożoną ze stu uli, oraz działalność jego w zakładzie ogrodnictwa ma być znacznie rozszerzoną.

— Towarzystwo popierania przemysłu i handlu odbyło narady co do urządzenia odpowiednich wykładów specjalnych, w zakresie techniki rzemieślniczej dla rzemieślników.

— Przy Warsz. Towarzystwa Muzycznym utworzono z inicjatywy p. Jana Karłowicza, oddzielną sekcję, zajmującą się utworami Moniuszki, która już wydaje pożądane owoce. Świat artystyczny dowiedział się o nieznanym mu dotąd kompozytorem mistrza: litanii, napisanej za czasów przebywania Moniuszki w Wilnie, której rękopis znajduje się w posiadaniu p. Leszczyńskiego. Doszło też do wiadomości ogółu, iż istnieje kredkowy portret Moniuszki, wykonany z natury w 1856 roku przez jednego z jego uczniów, Wincentego Śledzińskiego, który obok muzyki poświęcał się malarstwu i odbył w tym zakresie potrzebne studia. Moniuszko jest tu przedstawiony w pozycji siedzącej, przy fortepianie. Pierwszej reprodukcji portretu Moniuszki dokonał Karol Rypiński, obecnie starzec 90 letni, tak przecież jeszcze zdolny do pracy, iż obecnie przyjął on zamówienie na 25 obrazów religijnych, nad którymi właśnie pracuje. Jest on obecnie najstarszym z malarzy naszych; kredką lub ołówkiem wykonał on portrety niemal wszystkich wybitniejszych ludzi swojej epoki. Pierwszy portret Kraszewskiego wykonał Rypiński, malował go również prof. Smokowski.

— Prof. Gerson otrzymał z Monachium, propozycję reprodukcji swego obrazu „Wiosna“ który znajduje się obecnie na wystawie monachijskiej.

— W Szwajcaryi, w Bernie, otwarto wystawę sztuk pięknych. W Dreźnie urządzoną zostanie w Sierpniu wystawa międzynarodowa akwarel, pastel, rysunków ręcznych i szkiców. Wystawa, zostająca pod protektoratem króla Saskiego, zajmie salony szkoły technicznej, a trwać ma od 14 Sierpnia do 25 Września. Artyści, chcący tu wziąć udział potrzebują złożyć odpowiednią deklarację najpóźniej po dzień 1 Lipca, a do 15 t. m. dostawić na miejsce zadeklarowany przedmiot. Komitet wystawy wyda ilustrowany katalog, opatrzone odpowiednimi objaśnieniami.

— Na międzynarodową wystawę muzyczno-teatralną w Wiedniu, wysłano od nas pamiątki po Szopenie. Obok wystawienia dzieł naszych mistrzów i udziału ich w koncertach zbiorowych, przeznaczono dla Kochańskiej, Reszków, Kłamrzyńskiej i Arklowej parę wieczorów, a to z powodu, aby nie mając odpowiednich sobie partyi w operach naszych, mogli wybrać sobie dowoli opery obcych kompozytorów. Reszkowie, Jan i Edward, przyrzekli Münchheimerowi współdziałanie w wykonaniu opery jego „Mazepa.“ Salon dla cudzoziemców, z napisem objaśniającym to: „wejście wolne“ przedstawia go we wszelkich niemal językach kuli ziemskiej. Napisów w języku cyganów niemieckich, węgierskich, czeskich i tureckich, dostarczył specjalista w tym zakresie lingwistyki, arcyksiążę Józef. Kolumnę napisów rozpoczynają hieroglify, dalej następuje klinowe pismo assyryjskie a zakończy to stenografia i volapük, czyli język międzynarodowy.

— Budowa nowego teatru w Krakowie postępuje tak szybko, że niewątpliwie skończoną będzie w ciągu bieżącego roku. Roboty prowadzą się już wewnątrz a mogący je oglądać oddają wielkie pochwały sufitowi sali widzów i sztukateryom, stanowiącym obramowanie kurtyny. Wspaniale zapowiada się tak zwane „foyer“, ściany pokryte rzeźbą w gipsie, pomalowane będą na kolor ciemny w połączeniu z wyłoczeniami. Wschody tu wiodące są marmurowe; wprost z sali wychodzą

się będzie na obszerny taras z widokiem po jednej stronie na plantacye, po drugiej na plac Ś-go Ducha. Wykończenie sali widzów wymaga jeszcze dwóch miesięcy czasu. Kommissya teatralna, nie przychylając się do żądań artystów sceny krakowskiej, oświadczyła się za wypuszczeniem sceny w dzierżawę przedsiębiorcy prywatnemu; rada miejska niewątpliwie uchwałę kommissy zatwierdzi.

— Krakowscy nauczyciele szkół oświadczyli się z zapałem chęcią bezpłatnego nauczania więźniów.

— Dr Smolka, professor uniwersytetu krakowskiego, wniósł do sejmiku petycję o udzielenie z funduszy krajowych subwencji dla dalszych poszukiwań w archiwum watykańskim, które Leon XIII, dla powszechnego użytku badań historycznych uczonym wszystkim krajów otworzył.

— Artyści sceny lwowskiej i krakowskiej wystąpili z petycją do miejskiej rady Krakowskiej aby miasto objęła teatr we własny zarządek, co jednak zapewne nie nastąpi. Kommissya teatralna uchwaliła wniosek mający się wnieść do rady miejskiej o 20,000 złr. kredytu na dekoracye sceniczne, oraz o pozwolenie odfotografowania projektów na korytnę.

— Komitet wystawy przemysłu budowlanego we Lwowie, stara się gorliwie o pozyskanie jak największej liczby tak wystawców miejscowych, jak i ze stron dalszych. Spodziewać się tu można, że wystawa odpowie celowi swemu, gromadząc okazy wszelkich gałęzi tego przemysłu; zgłosiło się już nawet kilku wystawców zagranicznych i okazała się wskutek tego potrzeba rozszerzenia placu wystawowego po nad zamiar pierwotny.

— W uniwersytecie lwowskim odbył się uroczysty obrząd mianowania Dra Antoniego Małeckiego, doktorem prawa *honoris causa*.

— Pisma lwowskie zamieszczają korespondencję z Pesztu o głodzie panującym w Węgrzech, zwłaszcza północnych. W powiecie Nemesz, ludność żywi się od dwóch miesięcy przeważnie korzonkami, korą drzew, chlebem ze słomy owsianej i rodzice wysyłają dzieci, aby żebrały po gościach. Zjedzono już wszystko zboże przeznaczone na zasiew i rok przyszedł zapowiada się bardzo smutnie. Szczególniej ucierpiały okolice zaludnione przez Słowaków i Rusinów, rząd udzielił tej biednej ludności 3.000 zł. reńs. zapomogi.

— Wyścigi konne odbędą się we Lwowie w Czerweu, w ostatnich czterech dniach miesiąca.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: Arkusz 11-ty powieści pod tytułem **Na nowym lądzie**, przez Perfalla. Przekład z niemieckiego.

Pierwsza Szkoła Koronkarstwa

NAUKA BEZPŁATNA.

Zapis odbywa się w Poniedziałki i Środy od godziny 12 do 1 z południa. Desenie i przybory do wyrobu koronek nabyć można w Szkole Krakowskie-Przedmieście Nr 42, mieszkania 3.

TREŚĆ: Wychowanie naszych córek. — W ostatnim dniu, przez Antoniego Pileckiego (wiersz). — Pierzchliwy ptak, powieść, przez Kazimierza Glińskiego (dalszy ciąg). — Nowiny paryżkie. — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 11-ty powieści pod tytułem **Na nowym lądzie** przez Perfalla. Przekład z niemieckiego. Przegląd mód. 35 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

Korespondencya paryzka.

Paryż, w Maju 1892 r.

Jeżeli wspomnienie przeszłości nosi na sobie cechę uroku i poezji, mody obecne tem się wyróżniają, wszystko bowiem ugania się za staroświecczyną, mieszając style rozmaitych epok, modernizując je, co stanowi bardzo powabną różnorodność, i daje świadectwo o wytwornym guście naszych prababek. Widzimy więc przedewszystkiem, suknie bardzo obcisłe, coraz obcisłsze z krótkim lub dłuższym trenem. Staniki są mieszaniną z czasów Ludwika XIII i XIV, plastrony z przodu z koronek lub haftu są podłużne lub kwadratowe, otoczone zawsze falbaną marszczoną z koronek lub gipiury, wreszcie z muślinu jedwabnego, jedwabiem obdzierganego, formując z tego bertę, zakończoną w tyle kokardą z końcami „à la Watteau“ z wstążki morowej. Fałda „Watteau“ zapanowała wszędzie, jak przy sukniach, tak przy płaszczkach, mantylkach i t. p. Suknia formy „princesse“ wielkiej używa wziętości, zwłaszcza osoby wysmukłe króć ten nad inny przekładają. Koronek widzi się wszędzie bez liku i prawdopodobnie na sezon letni, będą one jedyną ozdobą skromniejszych, jak i strojnych sukien. Bardzo ładnie wygląda fałda „Watteau“, utworzona z koronek, nadaje jej to pewną lekkość i powiewność. Z czarnych koronek najmodniejsze są chantilly, z białych — koronka irlandzka. Spódnice u sukien, chociaż nie całe podbite jedwabiem, gdyż jeżeli materiał grubszy tylko na 30 c. w dole, wykonują „balayouse’y“, jedwabne, wycinane w zęby, jest to niezbędnym dopełnieniem sukni, które przy podniesieniu drapują się inaczej. Riuzsze dają się tylko na przodzie sukni, zakończone z boków dużą okrągłą kokardą z tejże materyi.

Moda otwartych żakietek bardziej jeszcze upowszechnia się w tym roku jak lat poprzednich, dopełnia je bluzka kolorowa z koronkowym lub częściej krepowym czy też gazowym żabotem odmiennej barwy. Noszą tu także duże szarfy gazowe gładkie lub w rzut z kwiatów kolorowych, które się wiążą w duże dwie kokardy z przodu. W ogóle mnóstwo żabotów i kokard z gazy lub koronek. Oznaczyć kolor modny w tej chwili byłoby niepodobniestwem, wszystkie odcienia są przyjęte, byle dobrze z sobą harmonizowały, srebrzysto-popielaty i stalowy, zdaje się iż trzymają pierwszeństwo.

Ponieważ wszelkie ozdoby błyszczące doszły do wielkiej wziętości, najszlachetniejsza z nich, ogólnie się rozpowszecznił i doszedł niemal punktu kulminacyjnego, zwłaszcza jako ozdoba kapeluszy, które albo bogato przybierają dżetem pod rozmaite postacią, bądź to pletni, bądź najróżnorodniejszych motywów, bądź wyrabiane są z samego dżetu nawlekanego na druciki.

Parasoliki, stają się w obecnej chwili nieodzownym uzbrojeniem pań. Wybór ten odznacza się również wielką pomysłowością i różnorodnością. Pokrycie parasoli nie gra obecnie podrzędnej roli. Najbogatsze materyały jedwabne dostarczają wielki w tym celu wybór, skromniejsze pokrywają jedwabiem mienionym „glacée“ w rozmaitych odcieniach. Pięknie rzeźbione ręczki bądź to z drzewa koloru naturalnego lub polerowane, bądź z kości słoniowej, szylkretu lub celoloidu uzupełniają je. W ogóle parasoliki noszone są bez podszewki, która się tylko używa, gdy pokrycie jest koronkowe lub jedwabne gazowe.

Leokadja S.

Karczek do koszuli (robotą szydełkowa).

Rycina Nr 1, 8 i 17 w Bl. Nr 20.

Karczek wykonany szydełkiem krętą bawełną Nr 60. Rozpocząć od tylnej części 360 o. i robotę wykonać tam i napowrót jak następuje.—1 kolej: * 3 pow. o., 3 o. opuśc., 23 ścis. o. w następ. 23 o., 3 pow. o., 3 słup. w 4 z rzędu ocz., od * 11 razy powtórzyć, ale 3 sł. pozostawić nienaruszone.—2 kolej: * 4 pow. o., 19 ścis. o. w środk. 19 o. następ. 23 ścis. o., 4 pow. o., 3 słup. w 1 następnych 3 sł., 3 pow. o., 3 słup. w 2 z rzędu o., od * 11 razy powtórzyć, ale na koniec po 19 ścis. o. tylko 4 pow. o.—3 kolej: * 5 pow. o., 15 ścis. o. w środk. 15 następ. 19 ścis. o., 5 pow. o., 3 sł. w następ. 3 sł., 3 pow.

o., 3 sł. w środk. następ. 3 pow. o., 3 pow. o., 3 sł. w następ. 3 słup., od * jeszcze 11 razy powtórzyć, w końcu po 15 ścis. o. tylko 5 pow. o.—4 kolej: * 6 pow. o., 11 ścis. o. w środk. 11 następ. 15 ścis. o., 6 pow. o., 3 sł. w następ. 3 sł., 3 pow. o., 3 sł. w 1 z następ. 3 sł., 2 pow. ocz., 3 sł. w 2 z rzędu sł., 3 pow. o., 3 sł. w następ. 3 sł., od * 11 razy powtórzyć, w końcu po 11 ścis. o. tylko 6 pow. o.—5 kolej: * 7 pow. o., 7 ścis. o. w środk. 7 następ. 11 o. ścis.; 7 pow. o., 2 razy naprzemian: 3 sł. w następ. 3 sł., 3 pow. o. potem 3 sł. w środkowe z nast. 3 pow. o., 2 razy naprzemian: 3 pow. o., 3 sł. w następ. 3 sł., poczem od * 11 razy powtórzyć, a w końcu po 7 ścis. o. tylko 7 pow. o.—6 kolej: * 8 pow. o., 1 ścis. o. w środk. z następ. 7 ścis. o., 7 pow. ocz., 2 o. przyczepić do 8 ocz., 1 ocz. p. 2 razy naprzemian: 3 podw. sł., których górne żyłki razem przerob. w nast. 3 sł., 5 pow. ocz., potem 3 podwój. słup. jak poprzednio w następ. sł., 5 pow. o., 3 podwój. sł. jak poprzednio w 2 z rzędu o., 2 razy na przemian 5 pow. o. 3 podw. sł. jak poprz. w nast. 3 sł. potem od * 10 razy powtórzyć, potem 8 pow. o., 1 ścis. o. w środk. z nast. 7 ścis. ocz., 7 pow. o., 2 o. przyczepić do 8 o. 1 pow. o. Na drugim boku oczek założenia wykonać 6 kolej jak poprzednio i wówczas wykonać tak samo część przednią karczka, w którą wstawia się jeszcze napierśnik ryc. Nr 1, czego opisywać nie będziemy ze względu bardzo wyraźnego deseni. Z tegoż samego względu nie opisujemy detalicznie sposobu wykonania rękawów. W 12 kolei rękawy należy złączyć w kółko. Następnie otoczyć karczek w górnym brzegu, oraz naokoło rękawków, koronką wykonaną podług ryc. Nr 8,

Koszyczek ozdobiony malowidłem.

Rycina Nr 4 w Bl. Nr 20.

Koszyczek wewnątrz skórą brązowego koloru wybitą, wierzchnia część ozdobiona malowidłem w ogniu wypalonym na tle ciemnym figury koloru brązowego, górny brzeg otoczony rzędem zębów jasnego koloru na tle ciemnym, takież sam pałaczek, wstążka i riuzska wykonają całość podług ryc.

Bluzka.

Rycina Nr 9 i 2 w Bl. Nr 20, odpowiednia do sukni ryc. Nr 3 w Bl. Nr 19. (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 16—21).

Bluzka wykonana z białego kaszmiru, przybrana aksamitem niebieskim. Skrajać z podszewki fig. 16 dwie części. Fig. 18 jedną część złożoną wzdłuż środka, Następnie z kaszmiru fig. 17 dwie części; fig. 19—21 po jednej części złożonej wzdłuż środka, ale przednie części i plecy należy przydłużyć w kierunku strzałki z uwzględnieniem kroju. Po zmarszczeniu tychże podług ryc. i wskazówek, przyszyć do karczka i pozszywać bluzę, w więcej zaś należy przyszyć pomiędzy liniami pasek na przewleczenie tasiemki do wiązania z przodu. Przednią część zaopatrzyć w listewkę z dziurkami i w guziki odpowiednie i stosownie do ryc. otoczyć szlakiem aksamitnym, wycinanym w zęby i w pasek również aksamitny. Następnie opaskę przy szyi i kołnierzyk gazą i kaszmiem obłożyć, przybrać aksamitem, zeszyc od 45 do 46 i wszyć w bluzę od 47 do 48. Co



Nr 1. Suknia dla panienci od 7—9 lat. (Opis pierw. str. tabl.)

Nr 2. Suknia z materyału wełnianego mieniącego z odpasowanym szlakiem (do ryc. Nr 34). Krój i opis pierw. str. tabl.

Nr 3. Płaszczek dla panienci od 5—7 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 21—26).

do rękawów wykonać takowe podług ryc. a mankiet z kaszmiru przybrać aksamitem.

Bluzka ozdobiona haftem.

Rycina Nr 10 i 3 w Bl. Nr 20 (do sukni Nr 3 w Bl. Nr 19).

Bluzka z kaszmiru koloru popielatego. Karczerek ozdobiony haftem masywnym, wykonanym jedwabiem koloru czarnego. Rękawy bufiaste, mankiety haftowane i pasek odpowiedni podług ryc.

Kapelusz dla panienki od 6 — 8 lat.

Rycina Nr 11 w Bl. Nr 20.

Kapelusz z pleśni słomianej koloru czarnego, przybrany 3 pomponami z piór czarnych, oraz wstążką ponsową 9 c. szer.

Kapelusz dla panienki od 4 — 6 lat.

Rycina Nr 12 w Bl. Nr 20.

Kapelusz okrągły z niską główką, wykonany z druciku białego, pokryty białymi koronkowymi wstawkami na przemian z wstążką 2 c. szer. jak wskazuje ryc. Brzeg otoczony koronką 4½ cent. szer. i całość podług ryc. wykończona kokardą z białej wstążki 9 c. szer.

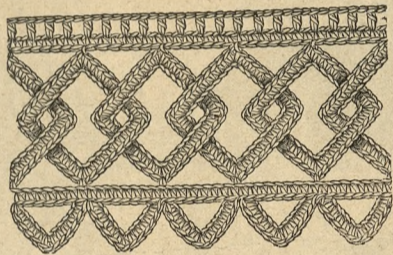
Kapelusz z pereł ozdobiony kwiatami i wstążką.

Rycina Nr 13 w Bl. Nr 20.

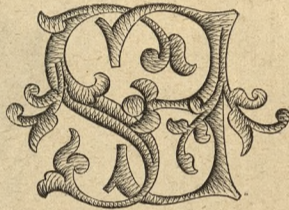
Na foremce z druciku siatka z perełek i blaszek dżetowych, otoczenie do koła stanowi riusza, wykonana z perełek na drucik nawlekanych, ułożona w kontrafaldy. Wstążka koloru lila popielatego aksamitna 5½ c. szer., oraz bukiet złożony z róży i drobnych kwiatków w kolorze wstążki.



Nr 4. Serwetka z bai fryzowanej. (Deseń pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 31.)



Nr 6. Koronka wykonana szydełkiem.



Nr 5. Monogram.



Nr 9. „Matinée“ z „surah“ i koronki (do ryc. Nr 7). Opis pierw. str. tabl.

Nr 10. Płaszcz do czesania z batystu ozdobiony haftem. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr X, fig. 56—60).



Nr 8. Suknia z mory w pasy. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 10—17).



Nr 7. Tylna część matynki Nr 9.

baną układaną w kontrafaldy z gazy białej w paski; rączka z trzciny. — Nr 19. Parasolik pokryty materiałem jedwabnym granatowym, przybrany mulem koloru białego układanego w kontrafaldy; rączka politurowana ciemna.

Parasoliki.

Rycina Nr 20 i 21 w Bl. Nr 20.

Rączka złożona. Pokrycie z materiału jedwabnego koloru „heliotrop“, powleczone tegoż koloru tiulem w deseń. Otoczenie z tiulu koronkowego koloru „heliotrop“ haftowanego i dzierganego. Nr 21. Rączka z drzewa politurowanego koloru jasnego, pokrycie z materiału jedwabnego koloru popielatego w paski ciemniejsze odpasowane w materiale.

Suknia z materiału w pasy i aksamitu.

Rycina Nr 25 i 27 w Bl. Nr 20.

Materiał wełniany w paski popielate i zielone. Suknia formą „princesse“ bez rękawów, uzupełniona stanikiem tejże formy z długimi z tyłu połami, z aksamitu koloru zielonego.

Kapelusz z pereł i „crêpe - lisse“.

Rycina Nr 14 w Bl. Nr 20.

Foremka z siatki z dżetowych perełek, wyginana w łuki tworzy rodzaj bardzo małej kapotki, przybranie z krepy koloru różowego i także same podszycie perłowej siatki. Przez obwód główki przeciągnięta wstążka różowa morowa 4½ c. szer., która przewiązana w węzeł w tylnej części służy do wiązania kapelusza z przodu. Róża różowa bez liści i egreta z piór zielonych cieniowanych wykończa całość.

Kapelusze z dżetu bez ubrania.

Rycina Nr 15 i 16 w Bl. Nr 20.

Kapelusze obecnie najczęściej noszone, wykonane z dżetu rzniętego płaskiego i okrągłego, nawlekanego na druciki.

Parasoliki.

Rycina Nr 18 i 19 w Bl. Nr 20.

Nr 18. Parasolik pokryty białym jedwabnym materiałem, a następnie fal-

Suknia z wyciętym gorsecikiem dla panienki od 12—14 lat.

Rycina Nr 29 i 24 w Bl. Nr 20. (Krw. odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 38—45).

Suknia z materiału wełnianego koloru granatowego i z fularu białego w niebieskie paski. Skrając z podszewki fig. 38, 40—42; z fularu fig. 39 i 43 po dwie części. W przednich częściach wykonać zaszwęki, oraz szew od 18 do 19. Pomiedzy liniami pokryć granatowym materiałem w rodzaju napierśnika. Następnie fig. 39 ułożyć na ramieniu w fałdy, mocując każdy \dagger na kropce. Zeszyć od 19 do 21, dolny brzeg zmarszczyć aż do $*$; przedni brzeg wyłożyć wzdłuż linii zgięcia i przymocować podług cyfr do podszewki. Po obłożeniu fig. 42 w górze aż do linii materiałem granatowym, połączyć fig. 40—42. Fig. 43 ułożyć w fałdy, mocując każdy \dagger na kropce, wyłożyć wzdłuż linii zgięcia, przyfastrygować do podszewki, którą w tylnym brzegu zaopatrzyć w haftki do zapinania. Po wykonaniu szwów bocznych i ramiennych połączyć części bluzki od 23 do 24; dolny brzeg zmarszczyć i przyszyć do stanika. Po wszyciu kołnierzyka, wykonać rękawy z materiału i podszewki podług fig. 44, z uwzględnieniem konturu górnego brzegu podszewki, oraz zewnętrznego brzegu spodnich części. Górną część rękawa zmarszczyć od $*$ do $*$, zeszyć podług cyfr, dolny brzeg otoczyć wypustką w paski i wszyć trafiając 55 w 33. Następnie wykonać spódnicę z granatowej alpagi 72 c. dłu. a 165 ob-



wodu. Dolny brzeg otoczyć na 13 c. wysok. materiałem, ułożyć w fałdy i połączyć ze stanikiem. Wierzchnią spódnicę skrajając z materiału podług fig. 45 jedną część złożoną wzdłuż środka. Wykonać fałdy, trafiając \dagger na \dagger , gorsecik zaopatrzyć podszewką i fiszbinami i połączyć boczne brzegi przedniej części spódnicy z odpowiedniej dług. 136 c. obwodu tylną częścią materiału. Wykonać rozporek, górny brzeg po bokach lekko namarszczyć, tylny zaś ściśle; umocować spódnicę, trafiając $*$ w $*$ do przednich części w sposób, ażeby zeszyte zasłaniała spadająca bluzka.

Poduszka balkonowa (robota szydełkowa i haft fantazyjny).

Rycina Nr 30 i 34 w Bl. Nr 20. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 57).

Poduszka 42 c. w kwadrat, pokryta perkalą szwajcarskim. Wierzchnia część na tkaninie „Jawa“ koloru ponsowego, ozdobiona haftem wykonanym krętą bawełną koloru „crème“, ścięciem gałzkowym i fantazyjnym podług fig. 57.

Rycina Nr 34 przedstawia część wstawki naturalnej szer., na którą wykonać należy najprzód gwiazdki a następnie łączyć je i przyczepiać jak wskazuje ryc. Nie podajemy detalicznego opisu wykonania wstawki, bo byłoby zbyt cennym przy tak wyraźnym deseni. Bąbelki i rozetki po rogach wykonują całość poduszki.

Czepeczek z koronki i wstążki.

Rycina Nr 32 w Bl. Nr 20. Zeszyć najprzód koniec koronkowe 76 c. dl., zmarszczyć takowe na

Nr 11. Suknia z materiału wełnianego „diagonal“ i „surah.“

Nr 12. Suknia z chusteczką dla młodej osoby.



Nr 13. Woreczek podróżny na pieniądze wykonany szydełkiem.



Nr 15. Figura haftowana do ryc. Nr 16.

Nr 14. Przednia część sukni Nr 32 w Bl. Nr 22.



Nr 16. Poduszka ozdobiona haftem (do ryc. Nr 15. (Deseń pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 30).



Nr 18 i 19. Płaszcz z materiału „gloria“ i podróżny kapeluszek z filcu.

Nr 17. Suknia dla młodej osoby.

8 c. dł., ułożyć na foremce i przybrać przepięciami i puklami z różowej wstążeczki „baby“ w równych odstępach, także sam rząd gęsto ułożonych pukli umieścić w tylnej części. Następnie zmarszczyć część koronki 80 c. dł. na długość 36 c. i ułożyć podług ryc. Nr 32.

Mantylka z „faille“ ozdobiona koronką dla starszej osoby.

Rycina Nr 33 w Bl. Nr 20.

Mantylka formą pelerynki z „faille“ jedwabnego koloru czarnego. Brzeg zewnętrzny otoczony frendzlą z perełek szmeleowanych i takimże wązkiem pasmanteryjnym galonikiem. Falbana z czarnej koronki ułożona w tylnej części w kształcie fałdy „Vatteau“. Kolnierz wysoko wzniesiony „Marie Stuart“ ozdobiony koronką wykończa całość.

Suknia z wigoni ozdobiona haftem i wstążką.

Ryc. Nr 35 w Bl. Nr 20.

Wigon koloru jasnopopielatego, oraz wigon koloru białego, ozdobiony haftem maszynowym, wykonanym tegoż koloru jedwabiem. Spódnica gładka, podszyta cała alpaga. Dół spódnicy ozdobiony szlakiem haftowanym na białej wigoni i wstążką aksamitną. Stanik wykonany podług ryc. z rodzajem gorsecika haftowanego z białej wigoni.

Suknia z materiału „diagonal“ i „surah“.

Rycina Nr 11.

Suknia z wełnianego materiału „diagonal“ koloru zielonego. Spódnica zupełnie gładka, trochę powłóczysta, cała zaopatrzona podszewką. Stanik podług ryciny przybrany



Nr 34. Tylna część sukni (do ryc. Nr 2.)



Nr 20 i 21. Parasoliki.
Nr 23. Pasek.
Nr 24—26. Chusteczki do nosa.
Nr 27. Kokarda.
Nr 28. Napierśnik „Serviteur.“

Nr 22. Krawatka „Lavalère.“

Nr 29 i 30. Woalki.



Nr 31. Płaszczyk podróżny (do ryc. Nr 35).

Nr 32. Krótki burnusik z sukna „Cape.“

Nr 33. Mantylka z koronki.

Nr 35. Przednia część płaszczyka Nr 31.

„surah“ koloru różowego. Falbana wychodząca z pod stanika tworzy jakby przedłużenie bluzki z „surah.“

Przepisy gospodarskie.

Szpinak po angielsku.

Obrany z korzonków młody szpinak ugotować na wielkiej wodzie z solą, co znaczy, w obszernym rondlu rzucając na zimną wodę kilka minut. Gdy miękki odlać i natychmiast przelać zimną wodą do ostudzenia. W rondel włożyć na 3 osoby dużą łyżkę młodego zupełnie masy, wsypać odrobinę maki, zagotować, rozprzewadzić mocnym bardzo dobrym bulionem, pomnąc zawsze, że ze złych rzeczy nie dobrego zrobić nie można, wrzucić szpinak jak jest, w całości, bez siekania, zagotować raz na prędkiem ogniu, tobelerując czyli mieszając płaską kopystką, żeby się nie przypalił, i zaraz podawać, żeby koloru nie stracił, a jeżeli ma stać, to wstawić rondel ze szpinakiem w drugi rondel z gorącą wodą. L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa szczawiowa z jajami.
2. Sztukamięsa biała, sos koprowy.
3. Caper barani z sałatą z kartoflami ze szczypiorkiem.
4. Szparagi.
5. Śmietana kwaśna bita z marenkami.

UWAGA.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, odnosząca się do wzorów w tym i w przysłym numerze Bluszczu podać się mających.

